Nr. 3. Rok II.

We Lwowie 13. Stycznia 1883.

ZIARNO

TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY

wychodzi od 1. października 1882 co sobotę w objętości półtora arkusza w okładce.

Przedpłata na „ZIARNO“ wynosi:
W miejscu rocznie: 12 zł. — na prowincji: 13 zł.
„ kwartalnie: 3 „ — „ 3 „ 25 ct.

Nowi prenumeratorowie kwartalni otrzymają pierwszy kwartał „Ziarna“ za połowę ceny.

Dla ułatwienia zaprowadzamy prenumeratę miesięczną w kwocie **1 zł. 10 ct.** w miejscu, a **1 zł. 15 ct.** na prowincji.

Na okładce każdego numeru umieszczamy INSERATY po 5 ct. od wiersza petytem.

Prenumeratę tak miejscową, jak z prowincji przyjmuje:

Administracja „ZIARNA“ w drukarni „Dziennika Polskiego“ we Lwowie ul. Halicka l. 46.,
tudzież wszystkie księgarnie.

☞ PP. Autorowie i nakładcy, którzy sobie życzą mieć ocenę swych dzieł w „ZIARNIE,“ raczą nadesłać redakcji egzemplarze wydanych książek.

☞ Administracja „**ZIARNA**“ uprasza pp. Abonentów, którzy zalegają dotychczas z bieżącą przedpłatą **o rychłe jej odnowienie**, by można ostatecznie uregulować wysokość nakładu. Ktokolwiek z Szan. Czytelników nie zamierza prenumerować „Ziarna“ od 1. bm. nadal — upraszamy, aby go można wykreślić wcześnie z księgi prenumeratorów, o łaskawe i jak najszybsze **zwrócenie otrzymanego 1go numeru**.

Odszczególnione pięcioma medalami zasługi i listem pochwalnym

są nierównane środki

mianowicie:

ANTILENTTILIA

usuwa piegi, opalenia słoneczne, plamy wątrobiane nadaje twarzy białość, delikatność i przejrzystość. Cena 1 zł.

WODA FIJOŁKOWA

nieporównany środek, usuwa z twarzy pryszcze, liszaje, trądzki, pierzchnienie i łuszczenie się skóry i wygładza zmarszczki, pory. Twarz odświeża i nadaje nieporównaną delikatność. Cena 1 złr.

MAGNOLINA

jedyny środek odświeżający płeć, skóra sucha, szorstka i zgrzybiała pod wpływem **Magnoliny** staje się miękką, przejrzystą i delikatną. **Magnolina** usuwa **czerwoność nosa**, niszczy **wągry**, t. j. czarne punkciki, które najwięcej osiadają w okolicy nosa. Cena tego znakomitego środka 1 złr. 50 ct.

WODA LILIJOWA

Plamy żółte, brunatne i ostudy z twarzy, szyi i piersi pod wpływem tej cudownej wody po kilkakrotnem użyciu zupełnie nikną. Cena 1 złr. 50 ct.

Orientalina czyli Pudr w płynie

nadaje twarzy prawdziwie naturalną twarz piękną i przyjemną białość, odświeża i konserwuje. Cena 1 złr.

PUDR KSIĄŻĘCY BIAŁY

jest prawdziwym unikatem w sztuce kosmetycznej, nie zawiera bowiem w swym składzie ani bizmutu ani ołowiu, ani też żadnych metalicznych pierwiastków szkodliwych zdrowiu, a pomimo tego przyjemnie przylega do twarzy, nadaje śliczną, naturalną i bardzo przyjemną białość i delikatność. Cena pudełka 1 złr.

PUDR KSIĄŻĘCY

cielisto-różowy dla blondynek i **cielisto-żółtawy** dla szatynek i brunetek po 70 ct., 1 złr. 20 ct. i 1 złr. 60 ct.

KREM ORJENTALNY BIAŁY

cielisto-różowy dla blondynek i **cielisto-żółtawy** dla szatynek. Kremy te czynią zadość wszelkim wymaganiom, nadają bowiem twarzy naturalną białość, delikatność i przejrzystość, a twarz martwa pokryta bruzdami, nierówno-szorstka, zostaje całkiem odświeżoną i młodzieńczą. Cena 1 złr. 20 ct.

PILIPTON

włosom siwym i wypłowiałym po kilkakrotnem użyciu przywraca piękny kolor. — **PILIPTON** nie farbuje, lecz tylko odmładza włosy, który pod wpływem tego znakomitego środka odzyskują pierwotną barwę. Cena flakonu 1 złr. 50 ct.

WALENTIN

najsilniejsze wypadanie włosów w przeciągu dwóch tygodni wstrzymuje cebulki włosowe, wzmacnia i do wytwarzania i porostu włosów pobudza. Miejsca wyłysiałe nieprzedawnione pod działaniem tego środka pokrywają się pięknym włosem. Cały flakon 3 złr. Pół flakonu 1 złr. 60 ct.

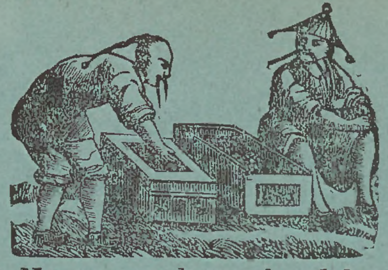
NIGRETINA.

Po długiem doświadczeniu udało mi się wynaleść wyborny środek do natychmiastowego farbowania włosów na trwały i piękny kolor czarny lub ciemny; jest on zupełnie nieszkodliwy i w zastosowaniu bardzo prosty. Cena 1 złr. 2571 3-0 4

JAN IHNATOWICZ,

magister farmacji i chemik sądowy.

we Lwowie, ulica Kopernika l. 3, w Krakowie, Sukiennice l. 20.



Nowo urządzony handel

Herbaty chińsko-rosyjskiej

EDMUNDA F. RIEDLA

we Lwowie, plac Marjacki liczba 10

poleca zbioru majowego:

1/5 kilo

Congo . . nr.	1	zł. 1·60		Pecco . . nr.	6	zł.	3.—
Souchong czar.	2	„	2.—	Karawanowa .	7	„	4.—
„ zbiór maj.	3	„	3.—	„ najprzed.	8	„	6.—
Kaysow . . .	4	„	4.—	Gumpow. perl.	9	„	3.—
Malang de Londres	5	„	4.—	„ przed.	10	„	4.—

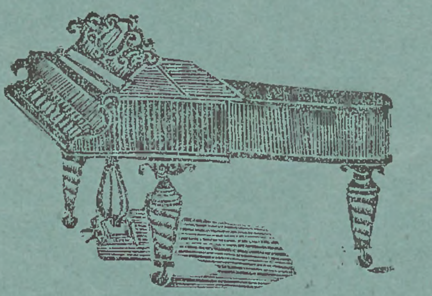
Herbata Souchong czarna, zbiór majowy, w oryginalnych chińskich skrzyneczkach i ołowiu opakowana, ważąca bez opakowania 700 gramów, czyli 1 1/4 funta wied. 3 zł. 50 ct.

Wysiewki herbaciane 1/2 kilo zł. 1.20, z najlep. her. zł. 1.50.

Zamówienia z prowincji wysela się odwrotną pocztą.

Opakowanie nie liczy się.

Gwarancja lat 10.



Gwarancja lat 10.

FORTEPIANY

z renomowanych fabryk

Hamburgera i Hofbauera

w Wiedniu

ma na składzie i poleca

A. ALSCHER

ul. Akademicka l. 26.

(Strojenia i reperacje **fortepianów i pianin** przyjmują się.)

Nr. 3. We Lwowie dnia 13. Stycznia 1883. Rok II.

ZIARNO

TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

Wydawca: **Bolesław Spausta.** Redaktor odpowiedz.: **Bolesław Czerwieński**

Prenumerata na „Ziarno"
W miejscu rocznie 12 zł. na prowincji 13 zł.
„ kwartalnie 3 „ „ 3 „ 25 ct.
„ miesięcznie 1 „ 10 ct. „ 1 „ 15 ct.

Wychodzi co sobotę w objętości 1½ arkusza. Adres redakcji i administracji: „Drukarnia Dziennika Polskiego" Lwów, ul. Halicka l. 46.
INSERATY będą przyjmowane za opłatą 5 cnt. od wiersza druku petitem.

Nasza prasa prowincjonalna.

Prasa, jej tendencje i rozpowszechnienie, są bez zaprzeczenia ważnem kryterjum cywilizacyjnego rozwoju każdego narodu, dowodzą bowiem, jaka ilość jednostek uczuwa potrzeby umysłowe i jakiej one są natury. To też w krajach wysoko pod względem cywilizacyjnym stojących, liczba dzienników i tłoczonych egzemplarzy dochodzi do wysokości, o jakiej społeczeństwo nasze nie ma prawie wyobrażenia. Czytają tam wszystkie warstwy ludności, każda najlichsza mieścina ma swoje pismo, częstokroć nawet kilka. A u nas? Jak pod każdym tak i pod tym względem nędza, jakiej drugiej chyba trudno znaleźć w Europie. Ale do czego prowadzą narzekania — radźmy raczej, jakby dojść do lepszych stosunków. Zamierzamy mówić o naszej prasie prowincjonalnej, która poczyna się rozwijać i wielkie ma do spełnienia zadanie. Do niedawnego czasu nie mieliśmy w Galicji ani jednego pisma na prowincji, choć nie brak u nas miast ludnych i ludniejszych jeszcze okolic — obecnie mamy ich już kilka. Tarnów posiada aż trzy dwutygodniki „Orła", „Pogoń" i „Unię", w Przemyślu wychodzi „San", w Stanisławowie „Echo z Pokucia", w Rzeszowie wreszcie z Nowym rokiem ujrzał światło dzienne „Przegląd Rzeszowski". Czy jednak pisma te odpowiadają celowi, czy rzeczywiście spełniają misję, jakiej się podjęły? — przecząco musimy dać odpowiedź. Jak prawdą jest, że każde społeczeństwo ma takie dziennikarstwo, jakiego jest warte — tak znowu z drugiej strony od dziennikarstwa wiele bardzo zależy, aby to społeczeństwo wychowac w pewnych zasadach, i prowadzić je ku światłu i prawdzie. Od samego także dziennikarstwa zależy, aby pobudzać coraz to szersze koła do czytania, a tem samem, aby ogół zainteresować sprawami publicznemi. Wszytkie powyżej wymienione pisma prowincjonalne nie wytrzymują pod tym względem krytyki. Zacznijmy od Przemyskiego „Sanu", jako najstarszego i najlepiej redagowanego z wszystkich wymienionych: konserwatywny co do tendencji, spokojny i poważny „San" jest „Czasem" *en miniature*. Wielkie polityczne kombinacje, głębokie roztrząsania administracyjne — oto teren, na którym redakcja lubi najbardziej się poruszać. Ta nienaturalna powaga, to drapowanie się w togę uczonego statysty — są słabemi stronami „Sanu", który niepowinien zapominać, że pismo prowincjonalne powinno mieć czysto lokalną cechę, że powinno być zwinnem i ruchliwem, jeżeli chce swych czytelników zainteresować i przywiązać do siebie. Choć z tendencją „Sanu" nie zgadzamy się zupełnie, musimy przyznać jak już powiedzieliśmy, że pod względem redakcji jest on pisemkiem prowadzonem z taktem i przyzwoicie — należałoby tylko uwzględnić nasze uwagi, podyktowane szczerą chęcią przyczynienia się choć pośrednio do rozwoju naszej prasy prowincjonalnej.

„Orzeł", „Pogoń" i „Unja"... Nieszczęśliwy Tarnowie, cóżeś zawinił, że cię taką trójcą losy ukarały? Jedno pisemko lichsze od drugiego, jedno od drugiego bardziej rozczochrane, jedno nad drugie sadzi się na dziwolągi pod względem stylu i sensu. Charakterystycznem jest, że i w tych pisemkach pojawiają się artykuły pseudo-poważne, rozciągnięte na kilka, ba nawet na kilkanaście numerów o ustroju społecznym i t. d. — elukubracje zarówno nudne, jak niesmaczne. Ale najpocieszniejsze są niby — humorystyczne kroniki p. t. „To i owo", „Ni to, n owo" itp. w których jacyś próbujący sił swoich „dziennikarze" sadzą się na cudackie koncepta, zupełnie sensu pozbawione i łają się od ostatnich słów. W ogóle polemiki tam nie mało — tylko niestety polemika ta toczy się o wiatraki. Mimo antagonizmów jakie tylko na prowincji są możebne, w jednym punkcie wszystkie trzy się zgadzają, a tym punktem stycznym jest serwilizm i bigoterja. Dochodzą one w tym kierunku aż do wstrętności, i zaiste dziwić się należy, że Tarnowianie mogą w czemś podobnem smakować.

„Przegląd Rzeszowski" prezentuje się lepiej od Tarnowskich kolegów, jest redagowany barwniej, ale to, cośmy tamtym zarzucali pod względem tendencji, w całej rozciągłości i do „Przeglądu" się stosuje — wreszcie „Echo z Pokucia" przedstawia się bardzo licho, a zamieszczaniem takich artykułów, jak „Rzecznictwo u Rzymian" z pewnością nie zdobędzie sobie szerszego koła czytelników.

Jak widzimy, ani jedno z pism powyżej wymienionych nie odpowiada swemu celowi, jedno z nich jest za ciężko redagowane, inne pod względem kierunku nie spełniają swego zadania. Potrzeba nam koniecznie prasy prowincjonalnej, któraby żywo interesując publiczność, podawała jej zarazem zdrową strawę, obznajamiała ją w sposób przystępny z ruchem wstrząsającym całą Europę,

i o wszystkiem, co dotyczy prawdziwego postępu na polu nauki i sztuki. Rozumie się, co do ostatniego punktu wiele zależy od ram pisma i stopnia ukształcenia ludności, w każdym jednak razie punkt ten koniecznie trzeba mieć na oku. Jak dojść do tego? Jak stworzyć prasę prowincjonalną, któraby rzeczywiście spełniała swoje zadanie? Oto w każdem większem mieście znajduje się pewna ilość jednostek, posiadających dostateczne wykształcenie i poglad dość szeroki, aby stworzyć takie pisemko. Jeden zawodowy dziennikarz wystarczy, aby pismo takie poprowadzić. Oto ci ludzie, jeśli posiadają tylko dobrą wolę, powinni zawiązać się w komitety i zakładać pisma prowincjonalne. Koszta są niewielkie i łatwo je pokryć. Tylko trzeba dobrej woli, a przedewszystkiem potrzeba, aby ludzie, którzy się biorą do zakładania pism, byli czyści pod względam charakteru i zupełnie wolni od wpływów koteryjnych, które jako pozbawione głębszych zasad, każdą sprawę skoszlawią a ostatecznie zniweczą. Pismo prowincjonalne powinne być dobre i uczciwe — od lichych i koteryjnych — lepsze żadne.

„Illegitimi Thori“.

Szkic powieściowy

przez

J. Estwoyna.

(Ciąg dalszy).

Przyszła jesień, owego roku tak brzydka, jak już dawno ludzie nie pamiętali. W porze „babiego lata“, kiedy to często u nas przyroda, zda się, powtórnie przywdziewa na siebie strojne szaty młodzieńczej wiosny, wtedy deszcze nie ustawały, z północy dęły bez przerwy wiatry nieznośne, a ziemia-niebo wyglądały w okół tak niewesoło, ponuro i nieswojsko, jak gdyby w niemem zadumaniu oczekiwały lada chwila nowego potopu i zagłady zupełnej.

Taka aura, jak wiadomo, jest zabójcza dla ludzi, którym się już z życia nie wiele należy. To też statystyka wykazuje, że zwykle na wiosnę i w jesieni najwięcej umiera ludzi chorowitych i starych. Do tych ostatnich należał bez kwestji zacny nasz proboszcz, który przytem od dawna już co chwila zapadał na zdrowiu. Obowiązki kapłana, które spełniał zawsze sumiennie, bez najmniejszego względu na siebie samego, wywoływały go niemal codzień z domu w dalszą lub bliższą drogę. Na jednej z takich wycieczek do jakiegoś chorego, zaziębił się starowina nie na żarty, dostał zapalenia płuc, i umarł...

Nad zamykającą się mogiłą rzadkiego ze wszech miar człowieka, płakali wszyscy z niekłamanym żalem. Najrzewniej jednak i najdłużej płakał niechybnie Jędruś i organiścina... Stara Magdalena przywiązała się była przez kilkadziesiąt lat pobytu do proboszcza, jak do rodzonego ojca, zresztą z jego śmiercią ustawały jej rządy na plebanji, bo nie ulegało wątpliwości, że następca zwyczajem w świecie praktykowanym, otoczy się nowymi ludźmi. Z osobistości wpływowej w parafii, wśród poczciwego ludku, zeszła skutkiem śmierci plebana na skromne stanowisko zwykłej organiściny, - a przecie pojąć łatwo, jak to boli, gdy dziś jeszcze z władzą i znaczeniem usnęło się spokojnie, a nazajutrz obudzą z hałasem — precz ztąd!

Jędruś znowu miał kilka ważnych przyczyn do płaczu. Nasamprzód płakała mama, więc płakał i on, jak to dzieci robią zwyczajnie, dla nich bowiem i dla kobiet płacz jest podobnie zaraźliwy, jak dla ludzi w ogóle ziewanie. Potem zmarły staruszek lubił go bardzo, niejednokrotnie przywoławszy do siebie, wycałował sierotę serdecznie, darował mu to cwancygiera, to jakąś książeczkę z obrazkami, to obrazek święty zresztą nie raz mówiła mama, że gdyby nie ksiądz proboszcz, Jędruś może byłby nie żył... powinien go zatem miłować, jak ojca rodzonego. Kochał go też tak szczerze, ile dzieciak w jego wieku kochać zdoła.

I poszły rzeczy swoim trybem. W miesiąc po pogrzebie ledwie czasem wspomniano o proboszczu, a w rok nie było o nim ni wzmianki, jak gdyby starowina nigdy nie żył przedtem na świecie. A jednak w czasie długiego swojego żywota nie jednę on łzę biedakom otarł ukradkiem, nie jednę zbłąkaną ofiarę, czy to losów, czy ludzkiej niegodziwości, wątłemi rękami powstrzymał w rozpaczliwym rozpędzie — nad brzegiem otchłani bezdennej...

* * *

W dziesięć lat później widzimy Jędrusia w stolicy, w gimnazjum. Przez ten czas zmienił się chłopak nie do poznania. Ładny był wprawdzie, jak ongi dzieckiem, ale ani śladu dziś w nim się nie ostało z dawnej wesołości. Nad wiek swój młody zrobił się poważny, i tęsknemi oczyma patrzył na świat. Bo też nie wesołe od dawna już miał życie, i ciągle łamać się musiał z niedostatkiem, z potrzebą chleba codziennego. Opowiemy pokrótce dzieje tego dziesięciolecia.

Już był Jędruś na ukończeniu szkoły w rodzinnem miasteczku, gdy pewnego dnia Wojciech organista tknięty apopleksją, umarł nagle. Za mężem poszła w krótkim czasie Magdalena z żalu, a zresztą i starości, i chłopak został powtórnie sierotą na łasce i niełasce ludzkiej. W lot zjawili się jacyś krewni dalecy organiściny, rozdrapali wszystko, co po zmarłej znaleźli, a Jędrusiowi oświadczyli, że może iść sobie w tej chwili, gdzie go oczy poniosą, bo i tak długo już tuczył się nieswojak z ich krzywdą. Byłoby im może więcej zostało, gdyby nie chodowanie tyloletnie jakiegoś przybłędy... Wielką jeszcze łaskę okazali, gdy pozwolili sierocie zabrać małą skrzyneczkę z kilką sztukami odzieży i bielizny, bo po prawdzie i to pochodziło z ich „krwawicy“ mówili w głębokiem przekonaniu, że prawo spadkowe za nimi.

Zabrał się chłopak z płaczem serdecznym, z pod dachu niskiego domku, gdzie spędził całe życie od kolebki, i w jakiejś bezwiednej rozpaczy czy żalu, dźwigając niewielką skrzynkę na plecach, puścił się w drogę, z postanowieniem powędrowania gdzieś w swiat, między lepszych ludzi. Że gościniec szedł mimo cmentarza, wstąpił tam, by pożegnać się z grobem ukochanej matki. Na świeżą jeszcze mogiłę padł chłopak jak długi, z godzinę modlił się wśród płaczu rzewnego, ucałował ziemię kryjącą zwłoki tej, która jedna kochała go sercem matki, uczynił to samo na grobie Wojciecha — w końcu proboszcza, a potem zabrał skrzynkę i ruszył w drogę.

Kawał za miastem spotkał go profesor, znany nam pan Piotr, wracający z dalekiej przechadzki, i zdziwił się niezmiernie, ujrzawszy chłopca zapłakanego, dźwigającego na plecach skrzynkę. Zatrzymał go i zapytał co to znaczy. — Gniew i oburzenie wstrząsły nim całym, gdy usłyszał, że niegodziwie wygnano sierotę, jak psa bezpańskiego. Wiedział wprawdzie o śmierci organiściny, i sam myślał o tem, co się teraz stanie z Jędrusiem. Sądził jednak w dobrej wierze, że spadkobiercy zagarnąwszy dobytek zmarłej wezmą zarazem i chłopaka w opiekę, który był „okiem w głowie“ u nieboszczki, jak go zawsze nazywała poczciwa kobieta. Dowiedziawszy się teraz o właściwym stanie rzeczy, dziwił się w duchu, jak to się stało, że umierając nie przekazała prawnie dla Jędrusia skromnego swojego mienia, składającego się bądź co bądź z domku, dwu krów, i zapewne jakiegoś zapasiku gotówki, — które przecie byłoby dało przynajmniej czasowy przytułek i utrzymanie opuszczonemu sierocie. Widocznie — myślał — nie spodziewała się skończyć tak rychło, i nie postanowiła nic w tej mierze, a ci ludzie bez serca i sumienia skorzystali z tego, i w brutalny sposób rzucili chłopca na łaskę Opatrzności.

Pan Piotr, jak wiemy, był człowiekiem poczciwym, więc nie namyślając się wcale, choć Bogiem a prawdą, sam miał mało, postanowił sierotę zabrać do siebie.

— To dobrze...— zaczął swoim zwyczajem— no, nie becz już chłopcze nie becz... zabiorę cię do siebie, będziesz chodził tu dalej do szkoły, a potem coś postanowię o tobie...

Jędruś, jak długi, upadł mu do nóg i zaczął całować go po kolanach. Profesorowi zdawało się, że go kurcz ścisnął w gardle — i coś niby łza spłynęło na szpakowatą brodę starego hulaki.... Skrzywił się przelotnie, i był w tej chwili mocno z siebie niezadowolony, bo zawstydził się tego objawu jakiejś czułostkowości, którą bezwarunkowo potępiał u mężczyzny.

W ten sposób Jędruś dostał się w opiekę profesora,— o czem gdy się dowiedziała zawsze jeszcze niechętna sierocie pani pocztmistrzowa, odezwała się z ironią: Ciekawam co sobie upatrzył do tego chłopczyska ten bałwan stary... Niech by to gęsi lub cielęta pasło... najstosowniejsze powołanie dla takiego stworzenia..., ale nie ubierać go na pośmiewisko, jak ludzkie dzieci, i dawać razem z niemi do szkoły... Ej te szkoły dzisiejsze także djabła warte... zakończyła z gniewem, nie mogąc nigdy przebaczyć profesorowi, że stosownie do zasług klasyfikując uczniów swoich, jej Kazia lokował gdzieś na szarym końcu, gdy jednocześnie ten przeklęty ocajdusza Kobylski był pierwszym w klasie!

Gdy Jędruś ukończył szkołę normalną, zawiózł go profesor do Lwowa, zapisał do gimnazjum, i ulokował na stancji u jakiejś wdowy po urzędniku, która za skromną zapłatę karmiła kilkunastu biednych studentów.

Dopiero gdy po kilkodniowym pobycie w stolicy, odjechał do domu profesor, okropny żal schwycił Jędrusia. Pierwszy raz w życiu ujrzał się sam jeden wśród obcych sobie ludzi — duże miasto, jego gwar, i co krok nieznane a obojętne twarze, wszystko to podziałało w wysokim stopniu przygnębiająco na wrażliwego chłopca... Z tydzień cały nic prawie nie jadł, jeno płakał dniem po kątach, bo się wstydził drugich, a nocą do poduszki. Powoli uspokoił się jednak, przyzwyczaił i z zapałem zaczął przykładać się do nauki, która — jak mu to często opiekun p. Piotr powtarzał przedtem — miała mu wszystko zapewnić w życiu...

(C. d. n.)

Z naszych dni.

Zwiędły sztuczne kwiaty marzeń,
Które dawno zmierzchłe czasy
Wonią sztucznych ideałów
Ustrajały w złudne krasy.
Dziś od mrzonek — twardy rozbrat
Niby murem ludzkość dzieli...
Pięknem iście jest marzenie
Lecz, jeżeli — w czyn wystrzeli.

Precz z ekstazą sentymentów!
My już snów dziś nie pragniemy,
Nie wyleczą naszych bolów
Hipotezy, ni systemy.
U nas, — co jak Dante kroczym
Po przestworzu mąk ognistem,
Rozum stawia hipotezy
A czyn tylko tworzy — system.

Czemże w obec wież niezłomnych,
Które strzegą prawdy grodu,
Na powiewnej mgle oparte
Eteryczne zamki z lodu?
W wieku maszyn, kotłów, fabryk
Nie karmelków nam potrzeba;
Dziś brzmi tylko jeden pacierz:
„Powszedniego daj nam chleba!“..

Tak! I piękniej, uroczyściej
Ludzkość modły owe składa —
Bo już nie ta sama ona
Zadumana, tęskna, blada;
Ani nie ta, co na pole
Rwać chodziła wonne kwiaty.
W ręku jej miecz błyszczy dzisiaj
A na barkach ż stali szaty!

Wyleczona z mistycyzmu,
Co ją trzymał w swoich pętach,
Kolejowym goni torem,
Na parowych śni okrętach:
U jej kolan dźwięczy dzisiaj
W miast czułego słów minstrela
Cyfr szeregiem strojny wywód
Edisson'a,-Graham, Bell'a

Praca, praca, myśl i czyny,
Ożenione w zgodnej parze,
Wiodą ją drogami, które
Doświadczenia rozum wskaże;
I nie pragnie ona szychu,
Wysnutego z kruchej przędzy,
Dzisiaj, gdy milionów życie
W bezgranicznej spływa nędzy.

Ale wara, jadem szyderstw,
Lekkomyślnej jadem blagi,
W zaślepieniu nienawistnem
Plwać na dawne sarkofagi,
Z strupieszałej ojców skroni
Laur odzierać na wpół zwiędły;
Zdzierać z piersi całun, który
Wielkie dzieje im uprzędły.

Wara śmiać się z ich mar jasnych,
Co śpią tam, w mogile głuchej;
Inny wiek bo był ich ojcem,
Inne je poczęły duchy,
Nam nie wolno ich idei
Czczą piętnować tylko brednią:
Przeszłość matką jest przyszłości,
A więc czoło chylmy przed nią.

Z czcią, młodzieży, krocz po smętnem
Cmentarzysku dziejów świata;
Anioł wiary niech z cieniami
Zmarłych w i e l k i c h cię pobrata —
On to niechaj twoje kroki,
Wiedzie w nowej ery świcie,
A nad mogił zwaliskami
Musi błysnąć nowe życie...

Rossowski.

OJCIEC NIEREMBERGIUS

Darwinista XVII. wieku,

przez

Ludwika Hodolego.

Że samorództwo, ów punkt wyjścia teorji pochodzenia ustrojów, przyjmowało wielu dawnych pisarzy, nie wyłączając i katolickich, jak święty A u g u s t y n, to rzecz ogólnie wiadoma. U jednych to śmielej wypowiedziane, niż u drugich, którzy podają, tylko luźne wypadki powstawania nawet wyżej ustrojonych istot z ciał nieustrojonych, w co wszystko przestano wierzyć od wystąpienia R e d i' e g o. Czy dziś powstają istoty ustrojowe drogą samorództwa, — ale w każdym razie tylko o najniższe rozchodzi się tutaj, — to rzecz nieroztrzygnięta, przyjmujemy jednak tyle przynajmniej, że samorództwo dało początek pierwotnym ustrojom, z których powstały wszystkie inne przez transformizm. Tak więc dzisiejsza teorja somorództwa jest racjonalnem po części zredukowaniem, po części zaś uogólnieniem owych dawnych poglądów.

Rzecz inna z transformizmem, czyli, jak go zwykle zwiemy, darwinizmem. Tu zwykliśmy za pierwszych chociaż fantastycznych inicjatorów uważać dopiero D e M a i l l e t' a i R o b i n e t' a. Niektórzy autorowie wspominają wprawdzie, że ślady opinij transformistycznych dałyby się może znaleźć i u dawniejszych pisarzy, jednak sprawę tę zwykle pomijają bez bliższego rozbioru. W ostatnich dopiero czasach kilku autorów, których prace nie miejsce tu rozbierać, starało się wykazać, że początek transformizmu sięga dalszych czasów. I mnie się właśnie dostało pod rękę dzieło z roku 1635, o którem nigdzie nie znajduję wzmianki, a które mi także nasuwa podobne myśli. Ledwie dodać potrzebuję, że pierwotny transformizm ten występuje tu jeszcze w bardzo nieokrzesanej formie i ze względu na fakta, na których się opiera, a które dziś u nikogo nie znajdą wiary, może on mieć w dzisiejszym transformizmem tylką tę wspólną myśl, że jedne ustroje mogą się w inne przeobrażać. Różni się on jeszcze tem od dzisiejszego, że brak mu uogólnienia na cały świat ustrojowy podobnie, jak to i dziś niektórzy twierdzą z B a s t i a n' em, że te-

orja descendencji nie może wytłumaczyć pochodzenia wszystkich istot ustrojowych, a „do wyższych klas zwierząt stosowana sprzeciwia się nawet zasadom przyrodniczym“ (?), że jednak stosowana do niższych istot może się ostać „jako czasowo pozwolona hypoteza.“

W każdym jednak razie zobaczymy poniżej, że już w dawniejszych czasach zaczęły kiełkować poglądy, odpowiadające naszym przynajmniej w odległej miniaturze.

Dzieło, które mi tę myśl nasuwa, nosi tytuł: „Joannis Eusebii Nierembergii Madritensis ex societate Jesu in Academia regia Madritensi Physiologiae Professoris— Historia naturae maxime peregrinae libris XII distincta. Antverpiae. Ex oficina Plantiniana Balthasaris Moreti. 1635.“

Jest to zoologia i botanika, poprzedzona bardzo obszernym wstępem ogólnym, powiedzmy, teoretycznym. Sam opis zwierząt i roślin przedstawia się wprawdzie dość interesująco, gdyż znajdziemy tu rzeczy, jakich nasi przyrodnicy nawet nie przewidują jak n. p. rośliny, na których kwiatach widać jak najdokładniej cierniową koronę, kielich z hostją, narzędzia do mąk Chrystusa i t. p., ale najwięcej zajęcia budzi sam wstęp, i dla tego tylko o nim mówić zamyślamy. Pomijamy nawet ze wstępu podobne kwestje, dziś ponoś wykluczone z nauk przyrodniczych, jak n. p. gdzie jest niebo, czy aniołowie są zwierzętami, co to był za wąż, co skusił Ewę i t. d., a wybierzemy tylko co, dotyczyć może dzisiejszej teorji transformizmu. Pamiętajmy przytem, że autor ten był profesorem fizjologii w madryckiej akademii, że więc nie jest dylletantem, któryby ku rozrywce łatwowiernych bajał o cudactwach, tylko jest mężem uczonym, mogącym reprezentować współczesną wiedzę, jak tego wreszcie dowodzi i ta okoliczność, że dzieło jego na ostatniej stronnicy jest z Rzymu zalecone do czytania, autor zaś wychwalony jako badacz przyrody („Nierembergius potest luste iaureari, ut arcanorum naturae diligens investigator“): — a zdziwi nas mocno, że są tu takie poglądy, że uogólniwszy je tylko, otrzymamy teorję transformizmu, lecz w całej pierwotnej prostocie, nawet naiwności, bo opartą wyłącznie na wierze w bardzo, jak dla nas, podejrzane obserwacje.

Same tytuły rozdziałów świadczą o transformistycznych poglądach autora, jak np.: O zwierzętach, które wydają rośliny, lub o roślinach, które zmieniają się w zwierzęta i t. d. Autor zestawia następnie cały szereg spostrzeżeń transformizmu, zachodzącego u zwierząt i roślin, a dając im zupełną wiarę, wypowiada wzeszcie ogólne zdanie, że przekształcanie się zwierząt i roślin odbywa się w przyrodzie bezsprzecznie. I tak autor ten widzi w tem coś całkiem możebnego, że „pewnemu jeleniowi wyrosł z rogów bluszcz“, albo że „pewnej kobiecie wyrosło zboże na nosie“, — „jeżeli bowiem z nieżywego zwierzęcia same powstają rośliny, dla czegóżby nie miały powstać z żywego?“

Jak pojęcie rośliny i zwierzęcia było w owych czasach pomięszanem, to nam ilustruje taki ustęp: „Bardzo często zdarza się, że na grzbietach ryb wyrastają mchy i algi; często też raki i ostrygi okrywają się mchami. Czytamy nawet u najsławniejszych autorów, że grzbiety ogromnych wielorybów tak się okrywaja roślinami, że często wielkie te zwierzęta wydają się żeglarzom wyspami, ku największemu ich niebezpieczeństwu, gdyż ci, zarzuciwszy kotwicę, wychodzą na grzbiet tych zwierząt, jakby na ląd, rozpalając tam ogień, budzą spiącego wieloryba ze snu, i zmuszają go do ucieczki i do zanurzenia się w wodę, skąd nie rzadko okręty i żeglarze topią się“ (Lib. III. Cap. IV. P. 31—32).

Między innemi wspomina dalej autor, że pewien bardzo wykształcony mąż „(vir summa eruditione spectabilis)“, widział drzewo, którego liście, spadłszy na rzekę, zmieniają się w ryby, spadłszy zaś na ziemię, zmieniają się w ptaki, i taką do tego nawiązuje uwagę: „Cóż w tem dziwnego? Jak bowiem na ziemi zmieniają się jedne rośliny w inne, tak nad ziemią powstają zwierzęta same z siebie (e se ipsis)“.

„Podobną historję podają S a x o G r a m m a t i c u s, A e n e a s S i l v i u s, M u n s t e r u s i D e l v i u s, mówiąc, że w Szkocji znajdują się drzewa wydające owoce owinięte liśćmi, które spadłszy w stosownym czasie na wodę, odżywają i zmieniają się w ptaki żywe, zwane gęsiami drzewnemi. Drzewo to rośnie także na wyspie Pamonia która niedaleko jest oddalona od Szkocji w kierunku północnym.“ S i l v i u s i O l a u s M a g n u s E p i s c o p u s U p s a l e n s i s opierając się na S k o t u s i e, opowiadają, że na wyspach Orkadach owoce pewnego drzewa, spadłszy w morze, zmieniają się w kaczki. „A i sam O l a u s potwierdza, że w północnych okolicach znajdują się gęsi powstające z drzew, jak owe kaczki szkockie.“

Autor przytacza zdanie wielu pisarzy, o różnych p t a k a c h (blanta, bernicla, avis berneca, berneta etc), „k t ó r e p o w s t a j ą z o w o c ó w d r z e w, a p o n i e w a ż n i e p o c h o d z ą z r o d z a j u p t a k ó w, p r z e t o s o l ą z a p r a w i a n e, b y w a j ą z j a d a n e w c z a s i e p o s t u c z t e r d z i e s t o d n i o w e g o, jak to dowiedzieliśmy się od ludzi, którzy to widzieli; rzecz zaś jest stwierdzoną świadectwem tak wielu poważnych mężów, że nie powinna być wcale uważana za wątpliwą.“

Podobnych „spostrzeżeń“ powstawania zwierząt z roślin, wylicza autor jeszcze więcej, i kończy wreszcie ten rozdział ogólnym wnioskiem: „Tak więc z żyjących roślin powstaje bardzo wiele zwierząt.“ (Lib. III. Cap. V. p, 32—33).

Transformizm w całej swej pierwotnej nagości! Jeżeli ci transformiści odważyli się powiedzieć, że pewne kaczki, gęsi etc. powstają bezpośrednio z roślin, albo pewne rośliny ze zwierząt, to o ileż skromniejszym wyda nam się dzisiejszy transformizm, wiążący w rozwojowym szeregu ze sobą tylko najbliżej ustrojem pokrewne istoty.

Ale nawet pod względem psychicznym przypisywano dawniej zwierzętom zdolności, w nader wysokim stopniu, a małpy to już uważano chyba prawie równe ludziom, jak to najlepiej dowodzi taki ustęp z naszego N i e r e m b e r g i u s a:

„Małpy, nad czem się zdziwisz aż do nieuwierzenia, umieją arytmetykę. Przez naocznych świadków i pewne wiadomości jest stwierdzonem, że w kraju Peru małpy żyją w takiej zażyłości z krajowcami, że razem z nimi o pieniądze (pro argento) grają w (karty?). Gdy ich zwyciężą idą razem do karczmy na napitek i płacą należytość z wygranej.“ Lib. I. Cap. XIII. P. 8.) Zdanie to powtarza autor jeszcze drugi raz w swem dziele i mówi, że kiedy z niem wystąpił przed audytorjum, nikt mu nie chciał dać wiary, aż właśnie przyjechał z Ameryki pewien mąż „nader wiarogodny,“ który wszystko najzupełniej potwierdził.

Skoro tylko D a r w i n podniósł umiejętnie teorję descendencji, podnieśli głos oppozycjoniści wszelkich obozów, że teorja ta jest fałszywą chociażby dla tego, że wszystkie gatunki istot ustrojowych są ściśle od siebie odgraniczone, a niemasz między nimi żadnego powolnego stopniowania. Pominąwszy, że dziś, kiedy znamy krocie ustrojów, transformiści wykazali już dosadnie bezpodstawnoć tego zarzutu, możemy się przecież przekonać, że jest to rzecz tak bijąca w oczy, że nie mogła nawet ujść uwagi N i e r e m b e r g i u s a, który przy swej szczupłej znajomości form ustrojowych, co jest naturalnem, jak na owe czasy, mógł już zauważyć ową stopniowość. Mówi on wyraźnie, że przyroda nie zna wcale gwałtownych skoków, że nie masz żadnej przerwy, żadnego rozpierzchnięcia form, że wszystko jest z sobą ściśle związane, jak w łańcuchu pierścień z pierścieniem“ (Lib. III. Cap. III. P. 29).

Zdziwi to może niejednego, że jak z powyższych słów widać, musimy ojca jezuitę Nierembergiusza zaliczyć do prymitywnych transformistów, jakich, sądząc z jego cytat, było więcej równocześnie z nim i jeszcze daleko przed nim. Myliłby się jednak, jak powtarzamy, ten, ktoby sądził, że nasz ojciec jezuita jest transformistą par excellence, bo ostatecznie do Boga odnosi on początek wszystkich istot, a wreszcie zajmuje się takiemi kwestjami, jak np. w jaki sposób sklasyfikować aniołów, lub węża co skusił Ewę, albo gdzie jest niebo i td.; — chodziło mi tylko o wykazanie, że już w dawniejszych czasach wierzono w przemiany ustrojów nietylko w legendach o zakroju metamorfoz Owidjusza, lecz także wygłaszano to w naukowej formie z katedr akademickich, jako fakta niezaprzeczalne. — Wreszcie co do tego zdziwienia, że mamy tu właśnie z ojcem jezuitą do czynienia, to złagodzonem ono zostanie, gdy wspomnę tu jeszcze o niedawno wyszłej pracy księdza jezuity Hummelauera, która także prawie przypadkowo do rąk mi się dostała, a która zawiera bardzo wielkie koncesje dla transformistów, o czem ci może nawet nie wiedzą, gdyż przy znanem obopólnem naprężeniu stosunków doszło w końcu do tego, że transformiści wprost ignorują wszystko, co wyjdzie z rąk księży. Ksiądz jezuita Hummelauer pisze mianowicie w „Ergänzungshefte zu den „Stimmen aus Maria Laach“ 4, w pracy pt. „Der biblische Schöpfungsbericht. Ein exegetischer Versuch“. Freiburg in Breisgau, 1877, na str. 149, co następuje: „Z tego, cośmy powiedzieli, nie trudno pojąć, jak się ma zachować egzegeta biblijnego podania o stworzeniu względem darwinizmu. Pod tą nazwą nie rozumiemy tu owego grubego błędu, który nawet w rozumnym człowieku nic więcej nie widzi, jak tylko spotęgowaną małpę. Pod darwinizmem rozumiemy tu raczej tylko ów pogląd, który wyprowadza wszystkie zwierzęce i roślinne formy z kilku pierwotnych form, a może nawet z jednej, całkiem prostej, zasadniczej formy. Naturalnie nie jest rzeczą naszą walczyć przeciw temu poglądowi lub potwierdzać go, tylko tyle zechciejmy skonstatować, że on wcale nie sprzeciwia się Genezie 1.“ Tu następuje tłumaczenie Genezy, wykazujące, że rzeczywiście nie ma tego przeciwieństwa, podobnie, jak to po wielu walkach postąpiono ze słońcem Jozuego w obec systemu Kopernika. A więc wolno już transformistom wykazywać przekształcanie się gatunków zwierząt i roślin, byle tylko nie włączać do tego i człowieka, koncesja jakkolwiekbądź olbrzymia, która transformistom wlać może tylko przekonanie że pod naciskiem swych dowodów już tyle zdołali wywalczyć od swych największych przeciwników. Widząc sprawę w tem nowem świetle, nie tyle się już zdziwimy okolicznością, że w pośród pierwotnych poprzedników Lamarcka i Darwina, znajdziemy także ojca jezuitę Nierembergiusza.

Takie to pierwotne fazy rozwoju przebywał transformizm, zarówno jak i inne idee ludzkości. Dziwnym a często i niedocieczonym jest pochód myśli ludzkiej! Z najdziwaczniejszych opinii przeszłości rodzą się często wielkie prawdy naukowe. Ze śmiesznej wiary astrologów wyszła astronomia; z próżnej ciekawości i interesowności alchemików powstała chemia; z pociesznych elukubracyj, szumnie filozofią nazwanych, powstała ścisła nauka, łącząca w jedność całą wiedzę ludzką; z szarlatańskich sztuczek magnetyzerów rodzi się nowa, dziś jeszcze tyle tajemnicza nauka: – z łatwowiernych zbiorów „arcanorum naturae w guście ojca Nierembergiusza powstała umiejętna teorja descendencji.

Słuchaj!

Opowiadanie *Ludwiki R****

Byliśmy zaręczeni, ja i Alfred, najlepszy człowiek, jaki żył kiedy na świecie. Mężczyźni wychwalali jego rozum, panie sławiły piękność — mnie podobało się najwięcej jego serce, bijące dla wszystkiego co dobre i piękne. Ach! było to serce namiętne, zapalające się żywo, trwałe w uczuciu i wierne.

Będzie temu lat ośm, gdy matka Alfreda zaprosiła mnie do posiadłości swej Marienburga na święta Bożego Narodzenia. Zaprosiła dużo gości, poczyniono przygotowania: bale, żywe obrazy, przedstawienia teatralne były w programie — a ja, jak pisał Alfred miałam być królową tych uroczystości. Niestety! Przed otrzymaniem zaproszenia zachorowała mi siostra niebezpiecznie; napisałam zatem iż przybyć nie mogę, ale pospieszę, skoro tylko choroba się przesili do Marienburga. Siostrze polepszyło się znacznie, jednakże nie mogłam jej samej jeszcze zostawić z obcymi. Prosiłam więc Alfreda, którego listy coraz częstsze i natarczywsze się stawały, o cierpliwość. W końcu pisał do mnie, było to na tydzień przed Bożem Narodzeniem — z namiętną goryczą — iż wie dobrze, że siostra bezemnie obejść się może; że w dniu odebrania listu urządzony będzie bal czy przedstawienie teatralne u nich, że liczy z pewnością na obecność moję — że będę na czas, jeżeli następnym pociągiem do Marienburga wyjadę, i że tego żąda koniecznie. Wprzeciwnym razie jeżeli 18. grudnia oczekiwać mnie będzie napróżno — będzie to dowodem, że więcej kocham siostrę niż jego — a wówczas opuści Marienburg niezwłocznie, i wyjedzie w świat by mnie więcej nie widzieć.

Zalewałam się gorącemi łzami czytając te słowa, siostra zaklinała mnie, nakłaniając do jazdy, serce moje pragnęło również pojednać się z rozgniewanym i wypełnić jego życzenie; jak można zatem było, najprędzej przygotowałam się do podróży.

Byłam prawdziwie uspokojoną, gdy w wagonie pierwszej klasy wspierając się na miękkich poduszkach, przebiegłam mgłą okrytą przestrzeń. — Nikogo prócz mnie niebyło w mdło oświetlonem coupé — owinęłam się ciepłem futrem i wsłuchiwałam się w monotonny hałas na pół senna. O 6. godzinie wieczorem obudził mnie dziwny świst, jaki wydaje maszyna zagłębiając się w tunel. Spojrzałam na zegarek. Była godzina ósma, gdy wjechaliśmy w długi tunel odległy cztery mile od Marienburga. Serce biło mi na myśl, iż wkrótce już ujrzę Alfreda, gdy nagle, w skutek uderzenia wagonu o coś innego, silnie potrącona upadłam na poduszki. Gdy ochłonęłam ze strachu, słyszałam turkot oddalającego się pociągu — słyszałam jak opuszczał tunel — a ja zostałam sama, otoczona straszną ciszą. — Nie mogłam się łudzić co do mego położenia: wagon w którym siedziałam, był ostatni w pociągu, odczepił się jakimś sposobem od innych, i pozostał w tunelu. Spuściłam szybko okno i zawołałam do sąsiedniego cupé. Ale jedno światło odbiło się tylko na ścianach tunelu — światło z mego coupé, dwa inne były nieoświetlone. Byłam jedynym pasażerem w tym wagonie. Krzyczałam, lecz zdawało się, iż ciemność pochłania dźwięk mego głosu.

Brzmi to szczególnie! — Rozpaczałam strasznie myśląc, ile czasu będę musiała w tej trwodze przepędzić, nim zostanę uwolnioną. Wkrótce przypomniałam sobie, że opuszczony wagon znajduje się w środku i może być wzięty w krzyżowy ogień nadchodzących pociągów — może być zgruchotany jeśli pociąg pójdzie tą samą linią — a właśnie za 10 minut ma pójść pociąg drugi, jak mi mówił służący odprowadzający mnie na dworzec!... Słuchaj! —

Tak jest! przeraźliwy świst lokomotywy daje się słyszeć — szum — i gwizd, który umilkł nagle i pociąg wjechał w tunel. Dzikie przerażenie mózg mi rozsadza, dusi

w piersiach. Szum zbliża się ku mnie — stłumiony turkot wzrasta coraz więcej — przemienia się w huk grzmotu, w gwałtowną burzę — z którą pociąg dzięki Bogu — wjeżdża na inne szyny koło mnie. Nie mogę dłużej zostać w wagonie. Żywo rzucam się do drzwi, chcąc je otworzyć — były zamknięte... obie.

Ah, wszakże można przez okno wyskoczyć. — Nie, zapewne z obawy, aby szaleniec jaki nie rzucił się oknem — urządzono je w sposób taki, iż nikt wydostać się tamtędy nie może. Usiadłam — by nabrać zimnej krwi i rozważyć, co czynić mi należy — niepodobna! Wszystkie moje myśli i uczucia koncentrowały się w tem słowie: słuchaj!!! Słucham... Okropność! przeraźliwy świst rozległ się znowu wśród nocnej ciszy — słyszę znowu wrzaskliwy hałas zmieniający się w stłumione mruczenie. Zrospaczona podniosłam się z siedzenia. Idzie — idzie coraz bliżej. — Z uczuciem, o którem pomyśleć wzdrygam się dzisiaj — uczuciem śmiertelnej trwogi i rozpaczy — odczuwając chęć życia i omdlenie zarazem, rzucam się do okna, rozbijam szybę i krzyczę głośno. W tej samej chwili błysnęło mi w oczy światło i głos męski ozwał się koło mnie. Co mówił ten człewiek niewiem, wiem tylko że czując się ocaloną, zemdlałam. Długo, długo byłam w omdleniu i dopiero później dowiedziałam się, że po ocuceniu dostałam gorączki i zapalenia mózgu wskutek wstrząśnienia. Odzyskawszy przytomność — ujrzałam się w jakiemś obcem, lecz nader miłem miejscu. Zdziwiona spojrzałam w około i spostrzegłam staruszkę, która z macierzyńską troskliwością podniosła mnie na poduszki. Nie znałam jej; zdziwiona spojrzałam przez otwarte okno do ogrodu, gdzie zamiast śniegu błyszczały drzewa okryte świeżą zielonością, skąpane w promieniach słońca. Zamyślona skłoniłam głowę na rękę a w tem rozpuszczone włosy upadły mi na kolana; z przerażeniem wstrząsłam się cała: były zupełnie siwe, jak włosy staruszki. Czyż lat tyle już upłynęło od owej straszliwej nocy? Nie, bo ta, co w tej chwili zbliżyła się do mnie moja rówieśniczka, wygląda jak róża kwitnąca — to siostra Alfreda! Łkając zarzuciłam jej ręce na szyję.

A Alfred? Dotrzymał słowa; tej samej nocy — kiedy nie przybyłam — wyjechał i nikt nie wiedział dokąd. Byłam najnieszczęśliwszą istotą na ziemi, młoda staruszka, — opuszczona narzeczona. Siostra Alfreda jednak pozostała mi wierną. Ponieważ leśniczówki, położonej blisko tunelu, gdzie mnie owej nocy przyniesiono, opuścić nie mogłam — przychodziła ona z służącą do mnie codziennie z Marienburga. Pewnego pięknego czerwcowego wieczora prosiłam ją by mi coś przeczytała dla rozweselenia, bo w sercu miałam dziwny jakiś niepokój i tęsknotę. W tem, słuchaj! Odezwał się w powietrzu gwizd lokomotywy, potem niby grzmot podziemny, i znowu świst przeraźliwy. Ale teraz ten głos dźwięczy mi niby wyzwolenie z śmiertelnej trwogi, niby oddech swobodny, niby okrzyk radości. — Tym pociągiem powraca Alfred, — wraca do domu — i do mnie!

Ośm lat temu; siwe są włosy moje — ale serce młode i szczęśliwe.

Obyczaje kupieckie.

Studjum Herberta Spencera.

(Przełożył L. Iulender.)

Pod tytułem obyczajów kupieckich, nie mamy zamiaru bynajmniej mówić o znanych do syta oszustwach handlowych, jakkolwiek i w tej materji nie zabrakłoby nam argumentów nowych. Znachodzą się jednak w obrocie handlowym nieuczciwości mniej wyraźne, i mniej przeto zauważane, na które niniejszem chcemy zwrócić uwagę. Ten sam brak sumienia, który się przejawia w zwyczaju mięszania krochmalu do kakao, fałszowania masła smalcem wieprzowym, farbowaniu cukierków chromatem ołowiu lub arsenianem miedzi, koniecznie przejawia się także w formie bardziej utajonej, a o tych to ukrytych formach oszustwa prawie na pewne utrzymywać można, że są zarówno liczne, jak fatalne w skutkach.

Wielu wyobraża sobie — acz niesłusznie, że w świecie handlowym tylko niższe warstwy zdolne są do oszukańczych manipulacyj, a jednak istotnie klasy wyższe w przeważnej części zasługują na naganę. Średnio biorąc, ludzie, którzy w interesie liczą na bele i tony, mało co pod względem wartości moralnej różnią się od tych, co liczą na łokcie i funty. Mnóstwo niedozwolonych praktyk wszelkiego gatunku i formy, począwszy od drobnych niedokładności aż do prostego złodziejstwa, śmiało kłaść można na karb wyższych sfer naszego kupiectwa. Oszustwa bez liku, kłamstwa w czynach lub słowach, fałszerstwa z góry obmyślane i przygotowane, wszędzie możesz napotkać, a niektóre z tych sposobów wzniesiono nawet do rzędu instytucyj prawnych, pod nazwą „zwyczajów kupieckich“, co więcej — pod tym tytułem znajdują one nawet rzeczników i obrońców.

Pomińmy więc kramarzy, tyle obwinianych; winy ich są tego rodzaju, że każdemu z nas cośkolwiek o nich wiadomo; zwróćmy się raczej do win popełnianych przez klasy wyższe w hierarchii kupieckiej.

Firmy hurtowne, zwłaszcza handlujące towarami modnymi, trzymają osobnych „akwizytorów“ (którym poruczone jest zakupno towarów). Każdy dom handlowy ma zazwyczaj kilka oddziałów, a na czele każdego oddziału stoi taki akwizytor. Akwizytor bywa do pewnego stopnia niezależnym; jest on niejako negocjantem podwładnym. Na początku roku szef jego otwiera mu kredyt, odpowiadający pewnej części kapitału obrotowego. Tą sumą nasz negocjant operuje jakby własną. Zamawia u fabrykantów towary, odpowiadające jego działowi w ilościach, stosownych do spodziewanego odbytu, a następnie stara się zbyć jak najwięcej tych towarów u handlarzy drobiazgowych, należących do klienteli firmy. Z końcem roku inwentarz wykazuje, jaką korzyść w interesie przyniósł kapitał oddany mu do dyspozycji, i stosownie do wyniku rma go zatrzymuje a nawet często podwyższa mu płacę, lub też go uwalnia.

W obec takiego urządzenia, nie należałoby się spodziewać korupcji. A jednak wiemy z bardzo poważnego źródła, że ci akwizytorowie, to zazwyczaj korumpujący i skorumpowani zarazem. Aby pozyskać „kundsmanów“, robią im prezenta — jest to praktyka dawno ustalona; rozumieją się oni w tej mierze dobrze z swoimi interesentami. W celu rozszerzenia swej klienteli między detalistami, wydają obiady i świadczą różne grzeczności. Zakupując zaś towary, oni sami dają się pozyskać przez podobne sposoby. Zdawałoby się, że w obydwu wypadkach własny ich interes powinien ich powstrzymywać. Lecz trzeba wierzyć, że użycie tych sposobów nic ich nie kosztuje. Skoro się zdarzy — a zdarza się często — że kilku fabrykantów przedstawia towary tej samej dobroci i po równej cenie, lub kilku akwizytorów robi zamówienia i stawia warunki tak mało się różniące, że wybór jest trudny, nie masz właściwie powodu do przeniesienia jednego nad innych, i wtedy to rozstrzyga właśnie owo „bene“ bezpośrednie. Dla czego tak się dzieje, niewiemy: sam fakt zaś pewny i dzieje się nietylko w Londynie, ale i na prowincji. Akwizytorowie pozwalają się hojnie fetować fabrykantom przez kilka dni z rzędu, a jak rok długi, tak w celu utrzymania ich względów, ciągle im posyłają to dziczyznę, to indyki, to wino i tp. Co więcej, dają im nawet łapówki w gotówce, a to jak nas zapewniał pewien fabrykant — często w biletach bankowych, częściej zaś w kształcie prowizji od ceny zakupionych towarów.

System ten jest bardzo rozpowszechniony, możnaby powiedzieć ogolnie przyjęty. Oto przykład na dowód: Pewien człowiek zbrzydził sobie był te praktyki, lecz wnet się przekonał, że jest wplatanym w system więzami nierozerwalnymi. Wyznał on nam, że wszystkie jego interesa odbywały się jak następuje: „Każdy akwizytor — mówił on — z którym mam do czynienia, oczekuje przy sposobności łapówki w tej lub owej formie. Jedni lubią brać w sposób więcej ukryty, drudzy biorą bez żenady. Dajesz jednemu z nich pieniądze, a on ci powie: o, ja nie robię takich interesów! Lecz daruj mu jaki przedmiot tej samej wartości, to się ani słówkiem nie sprzeciwi. Natomiast mój przyjaciel X., który mi przyrzekł na ten sezon grubszy obstalunek, oczekuje — wiem o tem dobrze — prowizji $1_0|^0$ w gotówce. Są to rzeczy nieuniknione. Mógłbym wymienić kilku akwizytorów, którzy są ze mną na bakier, i niechcą nawet spojrzeć na moje towary; wiem dla czego oto nigdy nie kupiłem sobie ich protekcji. Tu mój znajomy odwołał się na świadectwo innego negocjanta, który potwierdził, że w Londynie nie podobna inaczej operować. System jest tak rozwinięty, a niektórzy z akwizytorów tak są chciwi grubych zysków że takowe pochłaniają znaczną część zarobku, i że sprzedający często zadaje sobie pytanie, czy też warto nadal starać się o ich klientelę. Następnie — jak już nadmieniliśmy — ta sama historja powtarza się w transakcjach między akwizytorem i detalistą, tylko że uwiedziony staje się zwodzicielem. Jeden z tych panów, wyraził się raz w obec tego, którego powołaliśmy na świadectwo: „Wydałem już mnóstwo funtów (sterlingów) na pana X. tu wymienił znaczną firmę krawiecką) i sądzę że teraz go pozyskałem.“ Po takiem wyznaniu akwizytor jął się żalić na swoją firmę, że mu nie daje żadnego benefisu za jego wydatki wzmiankowanego rodzaju.

Poniżej akwizytora, jako samowładnego pana oddziału domu handlowego, znajduje się w tymże spora ilość pomocników, którzy traktują z kupcem drobiazgowym podobnie jak tenże traktować zwykł z szeroką publicznością. Ci pomocnicy wyższego rzędu, w pracy swojej uciskani tak samo jak pomocnicy niższego rzędu, również nie znają skrupułów. Każdej chwili czeka ich wydalenie ze służby, skoro im sprzedaż nie pójdzie dobrze; postępują zaś w randze stosownie do ilości towarów sprzedanych po dobrej cenie; widzą oni zresztą, że nigdy ich nie ganią za nieuczciwe wybiegi, a raczej ich za to chwalą; nie dziw przeto, że ci młodzi ludzie składają dowody nieuczciwości trudne do uwierzenia. Tacy co niegdyś służyli w ich randze, sami potwierdzają, że nieszczerość u nich jest stałą, i co usta otworzą to kłamią, a w swych wybiegach przechodzą całą skalę, od najprostszycch aż do iście machiawelicznych. Przejdźmy kilka próbek. — Gdy się traktuje o kupno z detalistą, przyjętym jest zwyczaj, aby zachować dla siebie, to co się wie o istocie interesu, i oszukiwać na towarach, na których się kupujący najmniej zna. Skoro sklep jego, znajduje się w okręgu, w którym największy jest popyt za towarem lichszego gatunku (który to fakt stwierdza poprzód wojażer), wnoszą stąd że tam mało się znają na towarach lepszych, zwłaszcza gdy stosunkowo mało takowych żąda, i wyzyskują tę jego nieznajomość. Nadto przyjętym jest zwyczaj okazywania próbek sukna, jedwabiu i tp. umyślnie w takim porządku, żeby sąd kupującego zmylić. Gdy się kosztuje artykuły żywności lub wina rozmaitego gatunku, smak ostrzejszy wprawia zazwyczaj podniebienie w stan taki, że ono już poźniej nie jest w stanie ocenić należycie smaku delikatniejszego tak samo ma się rzecz z innymi zmysłami; po silnem podrażnieniu następuje chwilowa bezwładność. Tyczy sią to nie tylko oczu pod względem ocenienia barw, ale także, (jak nam poświadczył człowiek doświadczony w interesie) palców, które mają oceniać tkaninę. Kupcy zaś przebiegli korzystają z tego, aby ubezwładnić po części zmysły kupującego, i w ten sposób podają mu towary drugiego gatunku za najlepsze. Inna sztuczka zasadza się na tem, że się udaje tmiość, której niema. Krawiec chce się za opatrzeć w sukna pewnej szerokości. Otóż proponują mu dobry interes. Przedstawiają mu trzy sztuki: dwie w dobrym gatunku po 14 szylingów łokieć n. p., a jedną bardzo lichą po 8 szylingów. Wszystkie trzy sztuki z umysłu są trochę pomięte, aby uczynić prawdopodobnem ustępstwo, które niby ma być zrobione. Oświadcza się tedy krawcowi, że mu się odstąpi te niby uszkodzone sztuki „hurtem“ po 12 szylingów łokieć. Zmylony pozorami krawiec sądzi, że w istocie obniżono mu ceny, uderza go nadto, że dwie sztuki lepsze, w istocie o wiele więcej warte, niż za nie żądają; i wcale się nie spostrzeże, że lichość trzeciej sztuki przywraca w zupełności równowagę, kupuje więc i jest przekonanym że zrobił wyśmienity interes, podczas gdy w istocie zapłacił porządną cenę za każdy łokieć.

Głębiej jeszcze pomyślane oszustwo, opisał nam były pomocnik w handlu hurtownym, który się sam tem oszustwem posługiwał zarówno z innymi, i udawało ono mu się tak dobrze, że mu często przysyłano klientów, którzy innym nie chcieli iść na lep, a później ci sami nie chieli już od innego kupować, tylko od niego. Polityka jego polegała na tem, że udawał bardzo prostodusznego i uczciwego, i przy pierwszych zaraz zakupnach obiawlał tę rzekomą prostotę tem, iż sam wskazywał niedostatki proponowanych towarów. Zyskawszy w ten sposób zaufanie kundsmana, zmienił z nienacka sposób działania, i wpychał mu towary najlichsze po cenach wygórowanych.

Oto niektóre z rozlicznych manewrów stale w handlu używanych. Rozumie się, że dla poparcia takowych używa się całej serji kłamstw w słowach i czynach. Jestto powinnością subjekta, czynić wszystko co będzie potrzebnem, aby uskutecznić sprzedaż. „Tylko głupcy sprzedają to, co było żądanem“ wymawiał pewien szef swemu pomocnikowi gdy się temu nie udało wepchać klientowi rzecz zupełnie inną, aniżeli on żądał. Żądają, aby pomocnicy byli kłamcami bez skrupułów, i nakłaniają ich do tego własnym przykładem; doprowadzają ich do takiej demoralizacji, że nie możemy powtórzyć wyrazów, jakiemi nam takową opisywano. Jeden, z tych, co nam dawali informacje w tym względzie, zmuszonym był opuścić swoją posadę, gdyż nie mógł zdecydować się zejść na wymagany stopień poniżenia. „Kłamiąc, nie masz pan nigdy dość poczciwej miny“, zauważał mu nieraz drugi pomocnik, — a mówił to w tonie wyrzutu!

Ci z pomocników, co mają sumienie najmniej wrażliwe, najlepiej wychodzą, najszybcej postępują na posady dobrze płatne, i najwięcej mają szans do otworzenia własnego handlu. Łatwy stąd wniosek, że szefowie na punkcie moralności niedaleko odbiegli od swych pomocników. Zwykłe malwersacje firm hurtownych stwierdzają to zdanie. Nietylko bowiem pomocnicy — jak to właśnie widzielismy, znajdują się ustawicznie pod presją, która ich zmusza do oszukiwania klientów na gatunku kupowanego towaru, lecz prócz tego ci ostatni, oszukiwani są na ilości towaru, a to bynajmiej nie przypadkowo lub w sposób niedozwolony, lecz za pomocą systemu zorganizowanego, za który odpowiada sama firma. Prawie ogólnie przyjętym jest zwyczaj wyrabiania artykułów o długości mniejszej, niż wypisano na sztuce. Sztuka perkalu mająca rzekomo mierzyć 36 łokci, w istocie nigdy niema więcej jak 31, a w handlu, rozumie się już samo przez się, że niema więcej mierzyć. Zwyczaj ten każe wnosić o nagromadzeniu całej serji przestępstw: świadczy on, że długość stopniowo była zmiejszaną, i to naprzód przez jakiegoś neofitę nieuczciwego cechu, a potem z konieczności przez licznych jego konku-

rentów. Tak się rzecz ciągnie z dnia na dzień i rośnie z przyspieszaną szybkością, jak to się zawsze dziać zwykło, gdy oszustwo nie może być odkrytem i powstrzymanem odrazu. Towary, które się sprzedaje w małych wiązankach, motkach, pakietach lub w innej formie, która nie daje możności sprawdzenia w chwili kupna, zawsze prawie wykazują braki. Wstążki tak zwane „po sześć czwartych“ czyli 54 cali, w rzeczywistości mają tylko cztery czwarte (yarda), czyli 36 cali. Wstążki niciane lub bawełniane, dawniej sprzedawano w groszach po 12 zwojów, a zwój po 12 yardów, dziś jednak te zwoje dwunastoyardowe mają najrozmaitsze długości od 8 yardów aż do 5, i jeszcze mniej. Średnia długość jest 6. To znaczy, że ze 144 yardów dawnego grosu, dziś zrobiło się poniekąd tylko 60. Oszukują zarówno na długości jak i na szerokości. Motki bawełny francuskiej naprzykład (które prócz nazwy nie mają nic francuskiego) wyrabia się w rozmaitych szerokościach, oznaczanych liczbami 5, 7, 9, 11. Każdy taki numer oznaczać ma ilość nici bawełnianych, idących na szerokość, a raczej m a j ą c y c h iść na takową. Motki bowiem, które powinne mieć numer 5, noszą liczbę 7, a siódemki oznaczone są dziewiątką. Z trzech próbek rozmaitych firm, które nam okazał nasz przyjaciel, jedna tylko miała prawdziwy numer. Podobnie frendzle, które sprzedają zwinięte na kartonie, mają częstokroć dwa cale szerokości po stronie widzialnej, zwężają się jednak aż do jednego cala w miarę jak się zbliżają do kartonu; lub też 20 yardów z pierwszego końca będzie dobrych a reszta, schowana pod spód, lichszego gatunku. Oszustwa te popełniają bez zarumienienia; „to handel“, mówią ludzie. Widziałem na własne oczy obstalunek zapisany w księdze zamówień pewnego komisanta, w którym wymienione były wyraźnie długości rzeczywiste, w jakich miały być ucięte towary, i długości rzekome, mające być wypisanemi na winietach, o wiele przewyższające długość istotną. Oto co nam powiedział pewien fabrykant. Zamawiają u mnie wstążki po 15 yardów, a każą mi pisać na etykiecie „gwarancja za 18 yardów“ i gdybym nie dał fałszywej etykiety, towar będzie mi niechybnie zwróconym, a w ostatecznym razie pozwolą mi wysłać towar bez etykiety.“

Trudno przypuszczać, że domy hurtowne w stosunkach swoich z fabrykantami trzymają się innego kodeksu moralności, aniżeli w obec detalistów, którzy u nich kupują. Fakty stwierdzają zresztą, że rzecz ma się jednako na obie strony. I tak naprzykład, akwizytor (zajmujący się wyłącznie zakupywaniem wyrobów fabrycznych dla firmy hurtownej) częstokroć kupuje u pierwszorzędnego fabrykanta niewielką ilość jakiego nowego wyrobu, na który sporządzono model, kosztujący wiele czasu i pieniędzy. Nabywszy tę nowość, nasz akwizytor oddaje ją innemu fabrykantowi, który z niej odrabia niezliczoną ilość naśladownictw. Niektórzy akwizytorowie czynią swoje zamówienia ustnie, aby je módz następnie odwołać. Zdarzyło się nawet, że pewien fabrykant, oszukany poprzednio w sposób powyższy, żądał podpisu akwizytora pod zamówieniem, lecz mu podpisu odmówiono.

Są jeszcze inne niesprawiedliwości, praktykowane w handlach hurtownych, za które — ile nam się zdaje, odpowiedzialni są szefowie. Drobni fabrykanci, którzy operują kapitałem niedostatecznym, i w czasie t. zw. martwego sezonu nie mogą wydołać przyjętym zobowiązaniom, częstokroć zmuszeni są oddać się zupełnie w ręce firm hurtownych z któremi mają stosunki; te zaś wyzyskują ich położenie w sposób nielitościwy. Skoro fabrykant dostanie się w takie ręce, widzi się wnet zmuszonym sprzedać cały swój zapas ze znaczną stratą (30 lub 40 % niżej ceny), lub takowy dać w zastaw; skoro zaś dom handlowy stał się raz jego wierzycielem hipotecznym, mało mu pozostaje nadziei, by się wydostał z rąk jego. Najczęściej zdarza się to w handlu jedwabiem. Jeden z wielkich kupców tego działu zapewniał nas, że śledząc upadek wielkiej liczby swoich kolegów, doszedł do tego wniosku, że „można ich oszczędzać przez czas jakiś, tak jak kot oszczędza mysz schwytaną; lecz w końcu muszą być zjedzeni.“ My zaś tem bardziej możemy wierzyć jego słowem, że na prowincji widzieliśmy niektórych garbarzy, trzymających się tej samej polityki wobec małych szewców, podobnie jak niektórzy handlarze chmielu i słodu wobec pomniejszych szynkarzy. Czytamy w książkach, że w Hindostanie, skoro żniwo nie dopisze, r a j a s i pożyczają u żydów na zasiewy, zaś raz dostawszy się w ich szpony przepadli. Zdaje się, że podobne rzeczy dzieją się w naszym handlu. (C, d. n.)

Przegląd literacki.

Dr. Aleksander Hirszberg. Koalicja Francji z Jagiellonami z r. 1500. Lwow 1882). (Dokończenie).

Od dawna była główną osią polityki królów francuskich, walka z domem habsburskim. Zawistnem patrzano we Francji okiem, gdy Maksymilian przez związki małżeńskie i pokojowe traktaty zapewniał domowi swemu bogate dziedzictwo burgundzkie, królestwo kastylijskie, aragońskie, sycylijskie, i bogate nowo odkryte kraje Ameryki.

Wiedziano nadto we Francji, że Maksymiliana myślą ulubioną było nabycie dla domu swego Węgier i Czech, które już raz poprzednio złączone były z dziedzicznymi krajami austryjackimi. Po śmierci Macieja Korwina pozostały wprawdzie starania i zabiegi Maksymiliana o koronę św. Szczepana bez skutku, umiał wszakże przebiegły władca wyzyskać na swoją korzyść kłopotliwe położenie, w jakiem się znalazł szczęśliwszy rywal jego Władysław, król Czech i wymógł na nim znany traktat preszburski — którym zapewnił domowi swemu następstwo w Węgrzech, na wypadek wygaśnięcia węgierskich Jagiellonów.

Gdyby kraje wspomniane wyżej rzeczywiście w jednych spoczęły rękach — punkt ciężkości polityki europejskiej musiałby się przenieść do stolicy Habsburgów, a Francja musiałaby zrezygnować z ulubionej myśli przewodzenia ludom Europy.

Jak więc widzimy, oba państwa dążyły ku jednemu celowi — za czem idzie, że ich antagonizm był naturalny i całkiem usprawiedliwiony. Nie tu czas i miejsce wykazywać cały szereg intryg, dyplomatycznych sztuczek i walk orężnych między oboma przeciwnikami. I Francja i dom habsburski, starały się wszelkiemi sposobami osłabiać się wzajemnie. Tworzono najdziwaczniejsze koalicje i zawierano traktaty — których warunków dotrzymać było niepodobna.

Lecz któż myślał w 15 wieku o dotrzymaniu traktatów! Był to przecież czas najwyższego rozkwitu machiawelizmu, czas, w którym otwarcie wypowiedziano zdanie, iż traktaty się zawierają na to, ażeby je w danej chwili łamać, a przysięga służy tylko do uspienia niebacznego przeciwnika. Rozumie się, że tak Francja jak i Maks, nie szczędzili zabiegów, by do walki wciągnąć jak najszersze koło sprzymierzeńców. W tym też celu zapewnia Maksymilian bezustannie posłów polskich, proszących jego i Rzeszę niemiecką o pomoc przeciw Turkom, o szczerych chęciach swoich dla Polski i Olbrachta, a przestrzega przed Francją i obietnicami ztamtąd czynionemi. Obawiał się widocznie cesarz zbliżenia się Jagiellonów do Francji już wówczas — kiedy jeszcze może nie powstała w umyśle Ludwika XII. myśl kosalicji z Polską i Węgrami. Łudzi Polskę i jej króla nadzieją pomocy osobistej, i koalicją wszystkich państw chrześciańskich. Przyrzeka zwołać wkrótce sejm Rzeszy niemieckiej dla naradzenia się

nad niebezpieczeństwem tureckiem, a nawet wydaje posłom polskim mandaty dla niektórych książąt Rzeszy, w których tychże wzywa — ażeby niezwłocznie pospieszyli Olbrachtowi z pomocą, gdyby tenże od nich jej przeciw Turkom zażądał. W ten sposób chciał Maks, przekonać Olbrachta o swoich dobrych chęciach dla Polski, a jednocześnie odwrócić go od Francji — która w poszukiwaniach swoich za sprzymierzeńcami — prędzej lub później natrafić musiała na Jagiellonów.

Całą tę pod każdym względem ciekawą i zajmującą sprawę przedstawił w znakomitem zestawieniu Dr. Hirszberg. Oparłszy się na dotąd mało znanych, a w części zupełnie nowych źródłach węgierskich i francuskich, skreślił żywo i zajmująco zabiegi Ludwika XII. około nawiązania stosunków z Jagiellonami. Lecz główną oddał historji polskiej przysługę wyświeceniem nader trudnej i zawiłej sprawy małżeństwa Władysław.. z Anną Candale. Dotąd bowiem domyślano się tylko, że poseł francuski wiózł ze sobą do Polski i Węgier prócz warunków przymierza, nadto jeszcze gotowy projekt małżeństwa króla węgierskiego z księżniczką francuską.

Sprawę tę rostrzygnął autor na podstawie nieznanych dotąd naszym pisarzom relacyj francuskich posłów i instrukcji Ludwika XII, danej tymże. Tem się też tłumaczy stanowisko Maksymiliana po r. 1500 względem Jagiellonów. Wspomnieliśmy, że traktatem preszburskim zapewnił sobie Maksymilian następstwo w Węgrzech na wypadek bezpotomnej śmierci Władysława. Władysław tymczasem dobiegał już lat pięćdziesięciu w stanie zupełnego celibatu. Z dniem każdym rosły nadzieje Maksymiliana, już widział się u celu swoich marzeń, gdy wtem zbliżenie się Francji do Węgier i małżeństwo Maksymiliana z Anną Candale zmieniły wszystko do niepoznania. Nietylko bowiem otrzymają Węgry następcę tronu — lecz nadto wpływy pięknej i rozumnej francuzki, neutralizować będą wpływ zauszników habsburskich, których dość miał Maksymilian na dworze peszteńskim.

B. M.

Przegląd muzyczny.

Nowy rok zapowiedziany jako wojenny, w początkach swych zawiódł zupełnie, okazując się — u nas przynajmniej — przeważnie muzom oddanym. Koncerta, występy gościnne i na nowo odgrzewane operetki w teatrze przerywane bywają tylko — cudackiemi zgromadzeniami w ratuszu. To też odwracamy się ze zgorszeniem od tych ostatnich pragnąc wstyd za niektórych lwowian utopić w morzu tonów.

Niezaprzeczenie ponętą swego programu i sposobem wykonania zajął tu naczelne miejsce pierwszy tegoroczny koncert Galic. Towarzystwa muzycznego. Oddając hołd płci pięknej najpierw podnosimy nr. 4. programu: Kawatynę wiecznie nową i młodą — bo prawdziwie piękną do słów: *una voce poco fa* z Cyrulika Sewilskiego. Utwór ten Rossiniego, stał się niejako kamieniem probierczym, za pomocą którego spiewaczki zwykły dawać poznać materjał głosowy, którym rozporządzają i stopień doskonałości, jaki osiągnęły w jego użyciu. Pani Gerbicz — o ile wiemy — po raz pierwszy występująca przed naszą puublicznością, zdobyła sobie od razu zupełne uznanie tak w pierwszym jak i w drugim względzie. Głosik bo to prawdziwie srebrny, szczególnie w wyższych tonach dźwięczny i czysty jak dzwonek; przytem metoda wyborna, wyrównanie głosu we wszystkich przejściach znakomite, giętkość i łatwość w najtrudniejszych pasażach wcale niepospolita, dykcja wyborna. To też uwzględniając nieuniknioną w takich razach a na śpiewaczkę szczególnie deprymująco działającą obawę o wynik pierwszego występu z przyjemnością konstatujemy fakt, że powodzenie było zupełne i zasłużone. Dowodem tego dwukrotne, bardzo gorące oklaski, któremi dosyć chłodna zresztą publiczność tego koncertu artystkę odznaczyła. Mniej powodzenia miał p. K. mimo, że wedle najlepszej widocznie możności swej starał się interpretować spiew p. t. „Skrucha“ z towarzystwem instrumentów smyczkowych pana Mikulego. Kompozycja ta głęboko pomyślana, wymagająca głosu silniejszego a oddania większem ciepłem przejętego. To rozżalona dusza wyrywająca się z pęt tego świata, jak to nad wszelki wyraz pięknie tłómaczą ostatnie takty akompaniamentu. Szkoda żeśmy niemogli usłyszeć poraz drugi tego bardzo sympatycznego utworu. Najbardziej pociągającym numerem tego koncertu prawdziwą *„piece de résistance“* był niezawodnie poraz pierwszy we Lwowie słyszany prelud do biblijnego poematu „Potop“ kompozycji Kamilla Saint-Saenśa. Śliczna bo też to rzecz Temat dosyć prosty, ale tą prostotą piękny, bo z głębi duszy płynący, nader zręcznie za pomocą prostych, i stosunkowo do pełnej orkiestry ubogich środków kwartetu smyczkowego, uzmysłowiony, coraz głębiej wciska się w duszę słuchacza; zadziwia przytem rozmaitość dźwięków, jakie z połączeniem tych instrumentów przez znakomite ich przez kompozytora użycie i ugrupowanie wynikają, tak, że po przebrzmieniu ostatnich akordów tęskno się robi słuchaczowi, jakby z czarownego snu się obudził. Sądzimy, że wyrażamy życzenie ogółu uczestników koncertu niedzielnego zanosząc prośbę do dyrekcji o powtórzenie tego prawdziwego cacka nowożytnej kompozycji zaraz na najbliższym koncercie.

Po tym utworze nowej ery zrazu dziwnie jakoś sztywnym, w ciasnych formach skrępowanym zdawał nam się prześliczny i znakomity w swoim rodzaju, Bacha koncert na 3 fortepiany z towarzystwem instrumentów smyczkowych. Ale już po pierwszych kilkunastu taktach ustąpiło to wrażenie prawdziwemu zajęciu, które wywołała gra trzech młodziutkich uczennic p. Mikulego, „jakby jeden mąż“ pracujących nad trudnem swem zadaniem: perłowa równość we wszystkich pasażach, z zadziwiającą akuratnością przeprowadzane crescenda i diminuenda, zupełna jedność myśli w najsubtelniejszych odcieniach, złożyły się na całość skończenie piękną.

Zanim zakończymy niniejsze sprawozdanie, wypada nam wspomnieć o serenadzie (c dur) Dworzaka, (pierwszy numer programu) która mimo dosyć udałego wykonania nie zdołała wzbudzić w nas najmniejszego zajęcia.

Natomiast dodać musimy z uznaniem że p. Wolfsthal, po którego występach solowych, nie wiemy dla czego powstała w nas obawa ażali on, mimo olśniewającej swej techniki, potrafi odpowiedzieć zadaniu pierwszego skrzypka w kwartecie nader miłą nam zrobił niespodziankę; grał bowiem ustępy w serenadzie, a szczególnie w preludjum, na pierwszym skrzypku polegające, nie tylko czysto i poprawnie, ale z wcale pięknym tonem a nawet z uczuciem, których brak właśnie mieliśmy mu do zarzucenia po jego poprzednich występach, a zwłaszcza po koncercie dnia 2. b. m. na korzyść „Przymierza braci“ odbytym. Jedną wszakże prośbę zmuszeni jesteśmy zanieść do p. W. w imieniu tej części publiczności, która jeszcze niezagłuszyła w sobie poczucia piękno aby w ustępach śpiewnych, w nutach przeciągłych wstrzymywał się od tremolowania a przynajmniej nie tak często jak to dotychczas u niego uważaliśmy, go używał. Wszak to należy niezaprzeczenie do pierwszych zadań Towarzystwa muzycznego, aby kształcić i podnosić smak estetyczny ogółu, czego przecież osiągnąć się nie da schlebianiem modzie. Zostawmy to raczej dyletantkom i dyletantom, którym przebaczyć można jeśli, jak się działo na wspo-

mnianym właśnie „dobroczynnym“ koncercie, bez wielkich trudów — na które narażać się nie mają potrzeby — zaimponować chcą wykwintnym programem i zaskarbić sobie poklask grona słuchaczy, jedynie w celach dobroczynnych bywających na koncertach.

Uwagi te jednak bynajmniej się nie stosują do 1go numeru programu z dnia 2. bm. (Andante con variazioni Hummla, na dwa fortepiany), który odegrany był przez pannę Fr. i p. dyr. Mikulego, z lekkością, werwą i miarą jedynie prawdziwemu artyzmowi właściwą.

O koncercie p. Anny de Blanc, który nawiasem mówiąc dosyć niepostrzeżenie przeszedł, dla braku miejsca sprawy zdać nie możemy. Ile się zdaje ani program ani jego wykonanie, nie zdołały przełamać obojętności ogółu. X.

ZIARNKA.

Z Krakowa doszła nas smutna wieść o śmierci Stanisława Lipińskiego, artysty rzeźbiarza, który dobrze zasłużył się sztuce krajowej. Urodzony w r. 1841 na Ukrainie uczęszczał początkowo do szkoły sztuk pięknych w Warszawie, i kształcił się pod kierunkiem Hegla. Kiedy w r. 1860 szkoła ta zamkniętą została, młody artysta udał się do Genui, gdzie w swoim zawodzie kształcił się dalej. Powstanie 1863 roku przerwało tę pracę. Lipiński wrócił do kraju, i własnym po części kosztem a głównie własnym zachodem utworzył oddział kawalerji, po którego rozbiciu dostał się do niewoli. Chciano go powiesić, ocaliło go jednak to, że podał się jako obywatel austryjacki, w skutek czego wysłany został tylko... na Sybir. Po pięciu latach niewoli biedny artysta udał się do Francji i Włoch, a w r.1875 ożeniwszy się, wrócił do Galicji: Odtąd zaczynają się najtwardsze chwile jego żywota. Artysta u nas nie kroczy po różach. Troska o chleb powszedni zabija w nim święty ogień zapału, zmusza robić nie to, co każe natchnienie, lecz to do czego znagla potrzeba. Zamówinaeń prace artyczne u nas nie wiele. Braknam mecenasów sztuki, brak w ogóle pieniędzy na poparcie estetycznych zachcianek, więc artysta zamiast dążyć do wyższych celów i zadań, często nawet bardzo często zniżać się musi do rzemieślniczej roboty... Doświadczył tego boleśnie Lipiński. Potrzeba zmuszała go nieraz rzucać roboty artystyczne, i oddawać się modelowaniu ornamentów, a nawet kamieniarce. Żywot ten był tem trudniejszym dla Lipińskiego, ile niepodległy charakter jego nie pozwalał mu się płaszczyć, i prosić o poparcie. Wolał on żmudnie pracować na kawałek chleba, aniżeli jednem słowem pochlebstwa lub prośby zdobyć sobie byt niezawisły.

Ztąd też poszło, że najpiękniejsze dzieło jego „Opuszczona“, która zdobyła sobie na wystawie wiedeńskiej r. 1873 medal I. klasy, musiała być zastawiona wyraźnie z a s t a w i o n a w Paryżu...

Lipiński mimo wielu prac drobnych, dokonanych dla chleba, pozostawił po sobie prócz „Opuszczonej“ kilka rzeczy wysokiej wartości artystycznej, a mianowicie dwa szkice „Powój“ i „Wolny,“ a w ostatniej chwili doświadczył srogiej ironii losu. Powołany do wykonania kilku figur dla fryzu budującego się w Wiedniu gmachu parlamentu, zalecił się wymodelowaniem „Galicji“ w stylu klasycznym, w skutek czego polecono mu wykonać „Austrję“ i wiele prac innych. Prace te były by mu przyniosły dochód dość znaczny, ale właśnie w tej chwili sroga Parka przecięła dni jego żywota.. W Krakowie poruszono myśl, aby wykupić ze składek z zastawu jego „Opuszczoną“ dla Muzeum w Sukiennicach. Myśl tę popieramy gorąco, bo będzie ono przynajmiej pięknym pomnikiem działalności utalentowanego artysty.

* * *

„Biblioteka warszawska“ umieściła bardzo cenny i gruntownie opracowany artykuł o galicyjskich szkołach średnich, nie wyczerpała jednak przedmiotu o tyle, że nie wszędzie podała środki zaradcze przeciwko złemu. I tak n. p. mówiąc o fatalnej instytucji suplentów, wykazuje wszystkie słabe jej strony, słusznie wini rząd, że cierpi coś podobnego u siebie, ale nie dodaje zarazem że aby zapobiedz złemu, należy wprowadzić częściowe egzamina takie, jak mają wszystkie inne wydziały uniwersyteckie. Bo cóż się dziś dzieje? Oto ukończony gimnazjasta zapisuje się na Wydział filozoficzny, a że go nic i nikt do nauki nie zmusza, więc często się zdarza, że przez 3 lata nic nie robiąc zapomina to, czego się w gimnazjum nauczył. Jest to niestety smutny fakt, ale fakt. Gdyby wprowadzono egzamina częściowe, nie narażanoby słabości natury ludzkiej na takie niebezpieczeństwa, bo każdy czułby się do nauki, niejako zmuszonym, za co — swoją drogą — każdy byłby wdzięczny.

Po drugie, ministerstwo utrzymuje przy każdem gimnazjum etat nauczycieli z przed 30 kilku laty, jak gdyby zapomniano że ilość młodzieży w szkołach nie podwoiła, ale się co najmniej potroiła od tej pory, a dla miłej oszczędności z obsadą posad wstrzymują się nie raz po roku. Niechże najpierw pomnożą liczbę posad profesorskich, a następnie niech zniosą system nieegzaminowania suplentów, a wiele złego się tym sposobem usunie.

* * *

Od kilku dni, wieczorami, róg Halickiej koło lwowskiego pałacu sprawiedliwości alias kryminału, roi się tłumem ciekawych, którzy zadarłszy głowę ku gwiaździstemu firmamentowi, mimo siarczystego mrozu, z nabożeństwem przypatrują się godzinami niebywałemu u nas zjawisku. W tem miejscu bowiem ustawiono lampę, widocznie próbną, która z odległości już kilkus et kroków zwabia ku sobie przechodniów intezywnym i szerokim snopem światła, - w obec niego zaś, staruszki latarnie gazowe wyglądają tak niepocieszenie, jak żydowska szabasówka przy eleganckiej świecy woskowej. Nie wiemy, kto właściwie urządził tę próbę, podobno magistrat z codziennych dzienników miejscowych, jak zwykle „dobrze poimformowanych“, o tem, jak nie mniej w ogóle, czy to lampa elektryczna, czy gazowa z umyślnym jakimś palnikiem, dowiedzieć się trudno — na każdy jednak sposób różnica oświetlenia, w porównaniu z niefortunnemi dotychczasowemi eksperymentami gazowej spółki, bez kwestji tak uderzająca w oczy, że nie podobna nie oświadczyć się odrazu za tą nowością. W Europie myślą serjo o oświetleniu miast lampami elektrycznemi — my tu we Lwowie prosimy kogo należy, przynajmnie o takie latarnie gazowe — jak ta próbna.

ZAPISKI.

Literatura.

* L i s t y i d e p e s z e S t a n. P o n i a t o w s k i e g o z r. 1758, jako posła Rzeczypospo. przy dworze petersburskim pisywane do Brühla. znajdujące się w wielkiej ilości w jednem z archiwów zagranicznych, mają posłużyć za osnowę do ciekawego obrazu, jaki na tej podstawie zamierza niebawem skreślić p. K. Jarochowski. Listy te będą prawdopodobnie ogłoszone oddzielnie, i przyczynią się niemało do uzupełnienia dziejów przedkrólewskich Stanisława Poniatowskiego.

* Dwóchsetną rocznicę zwycięstwa króla Jana III pod Wiedniem, postanowiła krak. Akademia umiejętności upamiętnić cennem wydawnictwem w oddzielnej książce źródeł, odnoszących się wyłącznie do dziejów wiekopomnej wyprawy króla rycerza. Już od lat kilku Akademja grom dziła materjał do historji samego bohatera owej epoki. Mianowicie, ogłoszono pod red. T. Kluczyckiego 2 tomy p. t. „Pisma do wieku i spraw Jana Sobieskiego“, które obejmują okres od 1629 do 1674. Wydano później dwa tomy korespondencji dyplomatycznej, sięgającej aż po rok 1679. Także nieodżałowanej pamięci dr. Lucas, zebrał był liczne dokumenta, listy i pisma dotyczące owej epoki. Ostatecznie Akademja wydelegowała prof. Smolkę do Wiednia, któremu podobno udało się wynaleść w archiwum państwowem wiele ciekawych materjałów, rzucających na sprawę odsieczy nowe światło. Najnowsze wydawnictwo Akademji, na podstawie tych ostatnich badań, wyjdzie prawdopodobnie z pod prasy w ciągu kilku miesięcy, a obejmuje mnóstwo listów króla Jana do żony, i dostarczy wątku do niejednego rysu psychologicznego tego wielkiego wojownika.

* Dziełem nader ważnem dla historji kościoła w Polsce, równie jak dla dziejów ogólnych, zawierającem mnóstwo szczegółów dotąd nieznanych, z akt archiwów, przeważnie gnieźnieńskich, zaczerpniętych, jest ks. Jana Korytowskiego, kanonika gniezn. praca wielkich rozmiarów, owoc długoletnich badań i poszukiwań: „Prałaci i kanonicy katedry metropolitalnej Gnieźnieńskiej, od r. 1000 aż do naszych czasów. Tom III ciekawego tego wydawnictwa jest już na ukończeniu (zesz. XI. Sirmieński).

* W ostatnim zeszycie pisma „Russkaja myśl“ pojawiła się naszkicowana monografia Kostomarowa, o Mazepie, w której jest mnóstwo nowych szczegółów.

* Jako próbkę, wymowną, o ile różni się nasza Galicja od ziem zabranych, pod względem ochoty do czytania i prenumerowania pism perjodycznych przytaczamy z radomskiej korespondencji w Nowinach warszawskich, następującą notatkę: Za pośrednictwem poczty, księgarni i kantorów, Radom otrzymuje 267 dzienników, 274 tygodników i miesięczników treści ogólnej, a 228 — specjalnej, oraz 285 pism illustrowanych a 106 ludowych i dziecięcych. Z dzienników przychodzi do Radomia 22 egz. Echa 12. Gazety handl., 14 Gazety polskiej, 48 Gazety warszawskiej, 2 Kurjera porannego, 94 Kurjera warszawskiego, 21 Nowin 13 Słowa, 26 Wieku. Z tygodników najwięcej czytelników ma „Tygod. Ilustrow.“

* Pierwszy zeszyt niemieckiej publikacji „Zeitschrift für Geschichte und Länderkunde der Provinz Posen“, zawiera artykuły o Międzyrzeczu, o historji augsburgskiego wyznania w Poznaniu, o Janie Łaskim, o ludności niemieckiej w czasie rozruchów w r. 1848, o Fryderyku W., obwodzie nad Notecią i t. d.

* „Niwa“ zapowiada nowe opowiadanie Turgeniewa, które ma się pojawić w tem piśmie jeszcze bieżącej zimy.

* W jednym z ostatnich numerów „Figara“ Albert Wolff opowiada genezę nowej powieści Daudeta „Ewangelistka“ Daudet miał z początku zamiar napisać dla „Figara“ romans humorystyczny p. t.: „Trousseaux et layettes“ (wyprawy i wyprawki); cały plan powieści był już gotowy, gdy w tem zdarzył się wypadek, który zmienił zupełnie zamiary autora. Najstarszy syn Daudeta pobierał lekcje języka niemieckiego od pewnej niemłodej już kobiety. Autor „Nababa“ zauważył kilkakrotnie, że nauczycielka jego syna była bardzo smutną, i nieraz łzy płynęły jej z öcz mimowoli. Daudet zaprosił ją do swojego gabinetu, i ta opowiedziała mu o swojem nieszczęściu. Miała ona córkę, którą zawerbowała w swoje szeregi fanatyczna sekta protestantyzmu, zwąca się „Armią zbawienia.“ Młoda dziewczyna do tego stopnia przejęła się doktrynami, że porzuciła matkę, i zaczęła walczyć pod sztandarem sekty, co było przyczyną smutku opuszczonej a kochającej nad życie swoją córkę matki.

Z relacji tego wypadku, Alfons Daudet miał gotowy temat do powieści; postanowił napisać studjum psychologiczne, którego celem miało być przedstawienie kolejne wszystkich faz obłąkania religijnego. Skończywszy swą pracę, czyli jak ją sam nazwał „obserwację“, poświęcił ją słynnemu psychiatrze paryskiemu dr. Charcot.

* Ludwik Blanc pozostawił po sobie zupełnie ukończone dzieło, obejmujące historję Francji z roku 1875, w którem rząd trzeciej republiki w sposób dosyć pessymistyczny przedstawia.

* * *

Teatr i muzyka.

* Sławna wiolonistka Teresa Tua, która niedawno temu we Wiedniu tyle entujazmu wywoływała, zdaje się będzie miała niebawem niebezpieczną rywalkę, jeśli oczywiście zawierzyć można na słowo pełnym zachwytu sprawozdaniom włoskich dzienników. Oto w Catanii dała się słyszeć ze swoją grą ostatniemi czasy młoda sycylianka Lucietta Neglia, w artyzmie swoim nie ustępująca wcale głośnej pannie Tua, i równie jak ta młoda i piękna. Jeden z zapalonych reporterów nazywa ją: „un amore di bambina“, a wszystkie dzienniki przepełnione są pochwałami dla młodziutkiej artystki, której dziś już rokują świetną karjerę.

* Niemiecki pisarz Ernst Wildenbruch, wykończył temi czasy nowy utwór sceniczny pt. „Król Kandji“, w 3 aktach, zapełniających cały wieczór. Ma to być komedja współczesna oparta na tle stosunków i przesądów kastowych, które autor miał sposobność wystudiować naocznie.

* Jak zapewniają francuskie dzienniki, mise en scene nowej opery Saint-Sensa pt. „Henryk VIII“, którą mają niebawem wystawić w Paryżu, kosztuje bagatelkę — 240000 fr.

* Suppé skomponował nową operę p. t.: „Czterdzieści dni.“

Adelina Patti otrzymała order Kapiolan od monarchy hawajskiego Kalakau I.

* * *

Sztuki piękne.

* Ministerstwo nadesłało już dla krakowskiej szkoły sztuk pięknych zakupionyprzez siebie obraz Kozakiewicza: Żydzi modlący się w synagodze.

* Nakładem Didota w Paryżu wyszło dzieło: Dictionaire de l'art et de la Curiosite par M. Bose. Siedemset dwie rycin i cztery litografje zdobią tę publikację.

* J. Sonnenleiter, znany miedziorytnik został mianowany profesorem wiedeńskiej akademji sztuk pięknych.

* Rząd pruski zakupił kolekcję obrazów japońskich Gerkego, o której pisaliśmy w ostatnim numerze, i przydzielił ją do oddziału sztychów.

* Piotr Gross, sławny malarz na szkle, który na nowo niejako odkrył tajemnicę malowania na szkle, umarł w Bonn, licząc 70 lat życia.

* Wykopaliska w Pompei wciąż dostarczają bogatego plonu archeologom. W ostatnich czasach wydobyto znów mnóstwo ciekawych przedmiotów. Między innemi zwraca uwagę wspaniała fontanna, o wysokiej kopule. Pokrywa ją bogata mozajka na tle błękitnem, przedstawiająca cały szereg bóstw przeróżnych, tudzież zwierząt. Wszystko wykonane wprawną ręką dobrego artysty. Odnaleziono także wielkich rozmiarów malowidło, które podobno wyobraża sąd Salamona (?)

* Posąg dłuta Bartholdi'ego „Bogini wolności“, który temi dniami wysłano z Paryża na miejsce przeznaczenia do Now. Yorku, jest o 40 stóp wyższy od kolosu rodyjskiego, zatem posiada w całości t. j. od stóp do szczytu pochodni, nie licząc w to piedestalu, 145 stóp wysokości. Rozmiary piedestalu u góry, gdzie spoczywają nogi posągu i rozścielają się draperje spływające, zawierają 40 stóp kwadr.

* Architekt Gurlitt sądzi, że udało mu się odnaleźć młodzieńczą pracę Andrzeja Schlütera w zamku Wilanowskim. Przedłożył on w berlińskiem tow. architektów szkic pałacu i twierdzi, że w architektonicznem ugrupowaniu części wykończonej za Jana Sobieskiego (1691—1694), wyraźne są podobieństwa w traktowaniu fasady, z zamkiem Berlińskim.

* Ostatni zeszyt „The Academy“ zawiera interesujący artykuł o rzeźbie asyryjskiej, napisany prsez T. L. Conolly'ego p. t.: „Assyrian sculptures in the Vatican.“

* Oskar Mothes, saski radca budowniczy, wydał pierwszą i drugą część dzieła, p. t.: „Die Baukunst des Mittelalters in Italien“, w którem oparty na badaniach najnowszych w tym kierunku, dochodzi do wielu nowych rezultatów.

Wiadomości społeczne.

* Z nadesłanego nam z Jass „sprawozdania z czynności Towarzystwa Bibljoteki polskiej w Rumunji za r. 1882,“ wyjmujemy niektóre cyfry, jako najlepiej świadczące argumenta o istnieniu, pożyteczności i rozwijaniu się stopniowem a ciągłem tej jedynej polskiej instytucji na Wschodzie. W roku ubiegłym darowano bibljotece 178 dzieł, a bogata czytelnia posiadała wszystkie pisma polskie, bądź za darmo, bądź za pół ceny. Wkładki miesięczne 70 członków, składki na szkołę polską i inne dochody pomniejsze, uczyniły przez rok pokaźną cyfrę 3774 franków. Obecnie fundusz żelazny bibljoteki wynosi 6521 frank' fundusz, budowy szkoły: 8088 franków.

Aby otworzyć szkołę, potrzeba jeszcze 4000 fr., które być może w roku następnym przy pomocy kraju zbiorą się, tymczasem trzeba pomyśleć o kupnie domu na własność Towarzystwa bibliot. w którym tak książnica jak i szkółka polska mogłyby się pomieścić.

Zarząd biblioteki składają pp.:

Dr. Łukaszewski, Dworzak, Gąsiorowski, Kliński, Dr. Lippa, Linde, Zbyszewski.

* Graphic podaje, że w granicach Indyj angielskich używają nie mniej nie więcej jak 132 rozmaitych języków.

* Na Wystawie Stenograficznej w Paryżu miano sposobność porównać 84 metod stenografii. Pierwsza z nich datuje się z r. 1683, a twórcą jej szkot Ramsay. Wśród mnóstwa wystawionych rzeczy, dwie zwracały tam ogólną uwagę, jako osobliwości w swoim rodzaju: zwykłą korespondentka, na której zdołano pomieścić 44000 słów, i stenograficzne wydanie biblji.

Nauki przyrodnicze.

* Paweł Bert, znakomity fizjolog francuski odkrył że krew zwierząt roślinożernych, zaaklimatyzowanych na wyżynach co najwięcej 3500 metr wysokości, zawiera znacznie więcej tlenu, niźli u tych samych zwierząt wśród dolin. W 100 centmtr. kub. krwi u ostatnich znalazł ledwie 10—12 ctmtr. kub. tlenu, podczas gdy w odpowiedniej ilości krwi czworonożnych tamtych mieszkańców gór, okazało się 16—22 kub. ctmtr. Być łatwo może, że podobny stosunek zachodzi odpowiednio i u ludzi.

* Egiptolog Maspero, jeden z najznakomitszych badaczów francuskich w krainie Faraonów, dyrektor muzeum w Bulaku, znalazł w jednym z sarkofagów osę w stanie mumii, która zapewne równocześnie z ciałem zabalsamowanem dostała się do środka trumny. Ponieważ ten sarkofag pochodzi z epoki bardzo odległej, bo na 3500 lat przed Chrystusem, może być nader ciekawą rzeczą zbadanie, ze względu na transformizm, czy i o ile osa epoki dzisiejszej, różni się od swej prastarej towarzyszki.

* Candolle dowiódł, że z 140000 znanych gatunków roślin, człowiek zpotrzebowuje dla siebie na rozmaite cele ledwie 300.

Miscelanea.

Wyprawy naukowe w niegościnne strefy zimne nie tylko nie ustają, ale raczej ciągle się wzmagają. Obecnie już nie zajmują się niemi tylko odważni nauce oddani podróżnicy, ale niemal wszystkie państwa europejskie zaopiekowały się tymi ludźmi, co własne życie ważą dla dobra ludzkości, jak również i celami tych ważnych wypraw. Niezawodnie nie mogą one wszystkie równie pomyślnych wydać rezultatów, bo często spotykają przeszkody, które im uniemożliwiają jakąkolwiek pracę, ale to pewna, że bez wpływu na naukę znaczna ich część nie pozostanie.

O austryjackiej wyprawie na wyspę Jan Mayen, pisaliśmy już obszernie, zaś obecnie nic jeszcze nowego o niej powiedzieć nie możemy, nie nadeszły bowiem dotąd wiadomości dalsze. — Niemiecka wyprawa stanęła już na miejscu przeznaczenia w północnej Ameryce, na północ od zatoki hudsońskiej, ale na wynik jej prac również jeszcze czekać potrzeba. Druga wyprawa niemiecka udała się do Południowej Gerogii na oceanie południowym lodowatym.

Hamburgskie Towarzystwo geograf. postanowiło, na jednem z ostatnich posiedzeń swoich urządzić nową wyprawę do nieznanych jeszcze obszarów w środku wschodniej Afryki. Gdy w r. 1879. Denhardt wrócił do Europy, jeden z jego towarzyszów wyprawy, Dr. med. J. A. Fischer pozostał w Zanzibarze, i w lecie z r. zniósł się z Tow. hamburgskiem, celem dalszych badań. Chciał on nasamprzód dotrzeć do gór śnieżnych, a potem zwrócić na północ do krajów Gallasu. W tym celu subskrybowało zaraz 40 członków fundusz z 15000 marek. Obecnie Towarzystwo zebrało wystarczające fundusze na dłuższą wyprawę, która ma niebawem złączyć się z Fischerem.

Francja wysłała tylko jedną wyprawę na Kraj Ognisty w południowej Ameryce, a w Kanadzie funkcjonują stacje angielskie. Nawet Finlandja idąc za ogólnym prądem, urządziła u siebie kilka stacyj, a nie widzimy w tym spisie z państw, nadmorskich, trzech wielkich półwyspów południowo-europejskich. Że bałkański nie bierze udziału w pracy międzynarodowej — nic dziwnego, boć on sam znajduje się w stanie, dla którego należałoby urządzić także jakieś obserwacje, ale Włochy i Hiszpania nie były powinne pozostawać tak bardzo w tyle.

Rosja urządziła wielką stację obserwacyjną u ujść Leny, w północnej Syberji, zaś siedm mniejszych w środku lądu stałego. Niefortunnie powiodło się wyprawom holenderskiej i duńskiej. Pierwsza miała za cel przeznaczone ujście Jenisseju, druga przylądek Czeluskin, obie niestety musiały pozostać na morzu karyjskiem, gdzie je lody otoczyły. Czy uda im się uwolnić z tych zimnych uścisków — dotąd niewiadomo. Również szwedzka ekspedycja do Spitzbergu nie zupełnie się udała, lody bowiem ją powstrzymały, więc zawinęła do przylądku Tordsen, i tam urządzono stację obserwacyjną. Ameryka północna nie pozostała w tyle za Europą, i urządziła dwie wielkie stacje na północy, a do Grenlandji przybiła się druga, szczęśliwsza od pierwszej wyprawa duńska. Że zaś Rosji udało się założyć stały punkt obserwacyjny na Nowej Ziemi, nie bardzo rzecz szczególna, skoro zważymy, że przystęp do niej jest dość łatwy.

Treść:

Od Administracji.

Zwracamy jeszcze raz uwagę Szanownych Prenumeratorów naszych, że rozpoczęliśmy kwartał drugi i chcemy uregulować nakład.

Prosimy o odczytanie ostatniego ustępu pierwszej stronicy okładki, gdzie są podane warunki przedpłaty.

Z drukarni „Dziennika Polskiego“ pod zarządem Leona Zubalewicza